N. 7. WARSZAWA d. 5 (17) Lutego 1872 ROKU.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Reklama przez Bronisława Łozińskiego. — Korespondencja z Wiednia.— Zapytanie! — Wielki Nieznajomy obrazy naszychczasów przez J. I. Kraszewskiego, w dwóch tomach. — Dombey i Syn powieść w dwóch tomach Karola Dickensa. — Pogadanki Naukowe. —

REKLAMA

PRZEZ

BRONISŁAWA ŁOZIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

W literaturze reklama zdobyła już sobie także silne stanowisko, może nawet silniejsze niż w innych kierunkach i zawodach życia społecznego, gdyż spotkała się tu z żywiołami, które znalazły w niéj pożądaną i potężną dźwignię. Mianowicie dla ludzi z nienasyconą próżnością, z wysokiemi a nieuzasadnionemi pretensjami, zastępujących pożyteczną treść sztuczną grą frazesów i zręczną blagą, reklama literacka stała się nieocenioną zdobyczą. To też w krótkim czasie w literaturze rozwinęła się niepospolicie, a niektórzy literaci i wydawcy doprowadzili już ją w téj mierze do mistrzowskiego sprytu.

Cała sztuka reklamy literackiéj polega głównie na tem, ażeby o książce lub o piśmie jakiemś często i jak najwięcéj mówiono i rozprawiano. Milczenie bowiem jest zabójczem dla dzieł i takich autorów, którzy nie mogą mieć nadziei, by prace ich po chwilowem pominięciu, zdołały sobie bodaj późniéj rzetelną wartością zdobyć należyte uznanie i stanowisko. Stokroć pomyślniejszą jest już dla rozgłosu autora nawet najsilniejsza nagana, niż takie zawzięte milczenie. Nagana nawet stać się może osobnym i bardzo korzystnym rodzajem reklamy, jeżeli wypowiedzianą została zjadliwie a do tego jeszcze z takim hałasem, że każdego ciekawość zostaje podrażnioną. Każdy wydawca albo autor-spekulant, zaciera ręce z radości czytając taką siarczystą naganę, jednającą przedsiębiercy odbyt a pisarzowi rozgłos i korzystne widoki dla przyszłych układów z wydawcami. W średnich wiekach cieszyli się wydawcy, gdy dzieło przez nich wydrukowane niepodobało się cenzurze duchownéj. Samo bowiem umieszczenie książki na spisie librorum prohibitorum zapewniało już jéj szerokie rozpowszechnienie, a jeżeli dzieło jakieś wydało się cenzurze aż tak bardzo niebezpiecznem, że jé publicznie spalono, to wydawca mógł być pewnym, że w niedługim czasie potajemnie wyczerpią amatorowie zakazanego owocu cały nakład. O kardynale Mazarin piszą współcześni, że oddawał się spekulacjom szczególniejszego rodzaju. Jak wiadomo nie miał ten dostojnik francuzki wielkiéj sympatji u swoich rodaków. Pojawiało się zawsze mnóstwo pamfletów i wierszy satyrycznych, szydzących z niego w sposób dotkliwy. Oczywiście książki takie konfiskowano natychmiast, a konfiskata wywierała wpływ tak czarodziejski, że nawet najlichsza ramota stawała się bardzo popularną. Mazarin umiał korzystać z téj ciekawości Francuzów, i pozwalał zausznikom swoim sprzedawać cichaczem na swój rachunek skonfiskowane pisma. Na sprzedaży takich pamfletów i wierszyków satyrycznych, miał Mazarin zarobić 100,000 talarów.

Ale nagana musi być bardzo zręczną, jeżeli stać się chce skuteczną reklamą. Jestto gra hazardowniejsza i wymaga pewnego sprytu, więc nie jest tak powszechnie praktykowaną jak reklama posługująca się pochwałami. Tu sprawa idzie bardzo gładko.

Każdy bowiem autor albo wydawca, znajdzie w gronie dziennikarzy i literatów przyjaciela który nie czytając książki wspomni o niéj w formie bibliograficznego zapisku, do którego z grzeczności albo przyjaźni dodaje się w takim razie kilka elastycznych ogólników, o ważności pracy i kilka nieoznaczonych dobitnie ale za to szumnych i pochwalnych frazesów. Jeżeli autorowi albo wydawcy uda się podsunąć kilka takich zapisków różnym pismom, książka staje się oczywiście interesującą dla publiczności, która nie znając wiele zakulisowych sekretów redakcyjnych wierzy w pochwałę, bo uważa ją za wyraz zdania dojrzałego. W ten sposób wyrabia się sława na kredyt, a autor dzięki reklamie staje się nagle znakomitością. Jeżeli celem reklamy było tylko rozkupienie książki, to cel ten prawie zawsze zostanie osiągnięty kosztem wprowadzonéj w błąd publiczności. Jeżeli zaś celem takiéj reklamy było wyrobienie dla autora rozgłosu, to będzie to tylko jak powiedzieliśmy sława na kredyt, która przy cokolwiek ściślejszéj sumienniejszéj kontroli krytyki, skończyć się musi prędzéj albo późniéj bankructwem. Na nieszczęście dzisiaj coraz rzadziéj spotkać się można z taką sumienną kontrolą prawdziwéj krytyki, co także jest poniekąd wynikiem dzisiejszéj wziętości reklamy. Coraz jawniéj solidaryzuje się u nas krytyka z reklamą a krytyk staje się często patronem swego literackiego klienta, którego sprawę popiera w obec obałamuconéj publiczności różnemi środkami niesumienności literackiéj. Ztąd też wynika, że dzisiaj rosną u nas znakomitości prawdziwie na drożdżach, a mierne zdolności osięgają dzięki téj familjarnéj krytyce bodaj na chwilę, niezasłużone stanowisko. Owoce takiego systemu protekcyjnego są wprawdzie nikłe, bo ostatecznie sąd trzeźwy odniesie zwycięztwo, ale mimo to mają one bardzo wielu amatorów.

Gdyby wszyscy dzisiejsi autorowie uderzyli się w piersi, i z całą otwartością opowiedzieli dzieje swéj chwilowéj sławy i wziętości, pokazałoby się niezawodnie, że znaczny procent tego zastępu licznego, zawdzięcza rozgłos własnemu sprytowi. Pokazałoby się może nawet, że znaczna część pochwalnych wzmianek o pracach pewnych autorów, wyszła z pod ich własnego pióra. Nie jedna korespondencja lwowska pewnych pism warszawskich, mogłaby wymownie poprzeć powyższe spostrzeżenie.

Zazwyczaj przesyła autor kronikarzowi jeden egzemplarz swéj pracy i prosi o przychylną wzmiankę czyli mówiąc otwarcie o reklamę. Kronikarz mając mnóstwo zajęć, nie ma czasu do przeczytania książki i robi autorowi wprost propozycję, ażeby napisał artykulik o swéj pracy. Autor chciwy niezasłużonego rozgłosu albo odbytu, zgadza się skwapliwie na tę propozycją i zaraz nazajutrz czyta publiczność

w dobréj wierze o „nowéj pięknéj i pożytecznéj pracy zaszczytnie znanego pisarza.“ Dla przyzwoitości kończy się taki artykuł najczęściéj zastrzeżeniem, że dziennik poda niebawem szczegółowy rozbiór nowéj książki, a tymczasem poleca ją z całego serca czytającéj publiczności.

Powodzenie wydawcy a poniekąd i sława autorska przestała być z tego powodu wyłącznym rezultatem rzetelnéj wartości i sumiennéj pracowitości, a stała się poniekąd tylko owocem sprytu i zręcznych zabiegów. Niepodobna jednakże wątpić, by krytyka bezstronna pozwoliła reklamie terroryzować się tak długo. W obec zdrowego zmysłu krytycznego publiczności, panowanie reklamy literackiéj skończyć się musi niebawem, a wątpić nie można, że także i cały system dzisiejszéj reklamy nie ujdzie bankructwa, jeżeli wcześnie nie cofnie się do granic prawdy i sprawiedliwości.

Korespondencja z Wiednia.

(Dokończenie).

Wkrótce potem Henryk St. Gervais dowiedział się że Pervenche jest Magdaleną Morel, przyszedł więc do niéj, bo miłość roztlała w nim na nowo. Mniema on, że ponieważ Magdalena tylko z winy jego ojca popadła w to położenie, jego obowiązkiem jest naprawić tę winę oddaniem jéj swojéj ręki. Scena w któréj Magdalena opowiada jak nędza i pokusa popchnęły ją na drogę występku jest porywającą. Tu jest najwyższy szczyt dramatu. Henryk ślubuje Magdalenie miłość i obiecuje zawieść ją do swego zamku, w objęcia matki i siostry.

W trzecim akcie poznajemy margrabinę St. Gervais i jéj córkę. Magdalena jest już w zamku, ale odpoczywa po trudach podróży, margrabina jeszcze jéj nie widziała. Za to Irena jest już przyjaciołką Magdaleny. Irena to uosobiona niewinność, najlepsza córka i siostra. Ona to prowadzi Magdalenę do matki. Zacna ta niewiasta przyjmuje ją z uczuciem. Magdalena cieszy się z tego, ale wnet domyśla się że matka i córka ani pojęcia nie mają jakie rany zadaje ubóstwo, dokąd prowadzi nędza. Wreszcie Margrabina zdaje się rozumieć Magdalenę i przyrzeka mieć staranie o jéj przyszłość. Następuje mistrzowska scena pomiędzy Henrykiem a matką. W margrabinie z jednéj strony uczucia macierzyńskie i religijne, z drugiéj duma arystokratyczna staczają walkę ze sobą. Wszelkiemi siłami stara się przekonać Henryka, że jego małżeństwo z Magdaleną jest niemożebne, ale Henryk odwołuje się do zasad religji chrześciańskiéj, które matka sama w nim zaszczepiła. Margrabina ulega nareszcie żądając tylko, aby mogła sama wybadać Magdalenę. W tem przyjeżdża Vicomte de Clers, ujrzawszy Pervenche w towarzystwie swojéj narzeczonéj, domyśla się że Henryk przywiózł ją tu sobie jako kochankę.

W czwartym akcie widzimy Magdalenę w trudnem położeniu. Napisała list do margrabiny w którym skreśliła całą swoją przeszłość i miotana tysiącami uczuć czeka w oranżerji na odpowiedź. Przeczuwa że odpowiedź ta będzie odpychająca, widzi się znowu opuszczoną i rzuconą na wolę losu. W tem postrzega kogoś przechadzającego się po parku. Była to Merope. Straciwszy miejsce przy teatrze w Paryżu i nie znalazłszy innego, zmuszoną była udać się na prowincję, lecz na stacji w St. Gervais spotkało de Clersa, a ponieważ udawał że jéj nie zna, poszła za nim i tu w parku straciła go z oczu. Merope radzi Magdalenie wstąpić do teatru i opuszcza ją z pośpiechem, bo pociąg odchodzi za chwilę.

Przed Magdaleną staje de Clers. Widział Merope z nią rozmawiającą i rozgniewany, że wszystkie dawne znajome, jakby się zmówiły ciągną tu za nim, idzie do margrabiny aby ją o wszystkiem uwiadomić. Magdalena pisze list pożegnalny do Henryka i ucieka. W piątym akcie Magdalena przybywszy do Paryża, udaje się do pani Pierre i dostaje tam przytułek. Nie wspomniała wcale o swoim pobycie w St. Gervais lecz pani Pierre wkrótce dowiedziała się o tem. Mała Fanchette rozchorowała się na tyfus. Magdalena pielęgnowała ją z nadzwyczajną troskliwością i w skutek tego sama się rozchorowała. W gorączce wspominała często St. Gervais, margrabinę, Henryka. Pani Pierre domyśliwszy się w części jakie tu zachodziły okoliczności, napisała do margrabiny z doniesieniem, że Magdalena Morel leży u niéj umierająca. Margrabina więc przyjeżdża, bierze pomieszkanie obok pani Pierre, kupuje téj ostatniéj nowe sprzęty, kwiaty. A gdy Magdalena przyszła do zdrowia i po raz pierwszy wstała, nagle otwierają się drzwi, i margrabina z Henrykiem, Ireną i de Clersem wchodzą do jéj pokoju.

Omdlała na ten widok, wkrótce przychodzi do siebie nieszczęśliwa Magdalena. Nie była już nieszczęśliwą, a w objęciach męża, matki i siostry w krótce zapomnieć miała o smutnéj swojéj przeszłości.

I my cieszymy się tem jéj teraźniejszem szczęściem, ze względu jednak na niezbędne warunki sztuki, wolelibyśmy aby autor pozwolił jéj był umrzeć na tyfus, i poświęceniem życia w usługach choréj, niewinnéj dzieweczki, zetrzeć ohydę całego życia. Wolelibyśmy także, aby pan Henryk de St. Gervais nie był znalazł sposobności naprawienia winy swojego ojca, wolelibyśmy aby życie jego najsroższych cierpień pełne, służyło ku przestrodze, porywczych i niesprawiedliwych.

Treść tego dramatu umyślnie obszerniéj przytoczyliśmy, aby lepiéj zobrazować brak wzniosłości w pomysłach tegoczesnych pisarzy dramatycznych. To naprężenie zawikłane dramatycznéj intrygi, owo nienaturalne zestawienie wypadków w walce słabości człowieka z warunkami w jakich się znajduje, wreszcie usprawiedliwienie i tryumf upadku moralnego, nie może i nie powinno być zadaniem teatru. Przeznaczeniem jego jest krzepić słabych, a złych przestraszać i skłaniać do poprawy. Nie idzie tu o moralizowanie ambonie właściwe, ale o ułożenie wątku dramatycznego w taki sposób, aby w nim zręczne, naturalne zestawienie wypadków w zetknięciu z rzeczywistym światem, subtelne, a jednak dramatyczne cieniowanie wszystkich wzruszeń serca ludzkiego, prawdy, fałszu, opacznych przekonań, pobudzało widzów do refleksji i zastanawiania się, i stało się niejako surowym cenzorem ich postępowania.

Przymiotów tych brak zupełnie tegoczesnym utworom dramatycznym, i albo tendencją nudzą albo zaszczepiają fałszywe idee.

I jedno i drugie wstrętne, a nawet niezmiernie szkodliwe.

Jako przewidywanie nowéj niejako szkoły, która jeszcze należy do przyszłości, uważać należy przedstawiony w teatrze obraz ludowy p. t.

Der Meineidbauer, w 3-ch aktach ze śpiewami Anzengrabera, którego „Proboszcz z Kirchfeldu“ obchodzi teraz kolejno wszystkie sceny niemieckie. Jak tamta sztuka, o któréj nieco dawniéj szczegółowo donosiłem, niniejsza jest także tendencyjną. Idzie tu o przedstawienie chłopa, który będąc powierzchownie nadzwyczaj pobożnym, i wykonywując z największą ścisłością wszelkie praktyki religijne, gotów jest zarazem do popełnienia choćby najstraszniejszéj zbrodni i nadużywającego w najochydniejszy sposób dobrodziejstwa, jakie religja nastręcza grzesznikowi pod postacią spowiedzi. Maciéj Ferner, właśnie taki nabożniś, chcąc zapewnić swoim dzieciom majątek po bracie, przysiągł fałszywie, że ten ostatni nie zrobił testamentu na rzecz dwojga swoich dzieci naturalnych. Testament był, lecz Maciéj Ferner go spalił. W chwili gdy go palił, wszedł przypadkiem synek jego dwunastoletni Franciszek, co ojca tak przeraziło, że go o mało nie zabił; uratowała go matka, ojciec oddał go następnie do miasta do szkół, chcąc go pokierować na księdza. Kochanka zmarłego prowadziła proces o spadek, lecz przegrała go i umarła ze zgryzoty. Maciej Ferner wziął jéj córkę Vroni do służby, syn zaś jéj Jakób, wyszedł na hultaja, zmarnował się po więzieniach i w końcu zniknął. Maciej Ferner jako bigot, a przytem egoista doskonale jest narysowany. Dręczy go sumienie, ale też właśnie dla tego poświęcił syna na księdza, aby się kiedyś przed nim wyspowiadać i uzyskać odpuszczenie grzechów. Biedny to chłopiec ten Franciszek. Okoliczność, iż wie o zbrodni ojca, jest dla niego źródłem niewysłowionych cierpień. Vroni ma stosunek z parobkiem imieniem Toni, ale ten jest prawie zaręczonym z córką Fernera Krescencją. W skutek tego powstaje sprzeczka. Vroni z domu wygnana idzie do swojéj babki Burgerliesel, kobiety dobréj, ale uprzedzonéj do ludzi. Do niéj przychodzi także wnuk Jakób, ze steranem w poniewierce zdrowiem, umierający. Gdy siedział w więzieniu przyszło mu na myśl, że musi być gdzieś list, którym Maciéj Ferner potwierdził jego ojcu odbiór testamentu.. Słyszał o tym liście w dzieciństwie, wyszedłszy więc z więzienia robił za nim poszukiwania i dostawszy go przyszedł z nim do ojczyzny. Niestety sam już żadnéj z tego listu nie może mieć korzyści, już bowiem wybiła jego ostatnia godzina. Daje list siostrze i umiera. Na tem kończy się akt pierwszy.

W drugim akcie Franciszek przychodzi do domu ojca. Powitanie zimne, ojciec pomieszany, bo syn wyrzuca mu, że zatruł jego młodość i oświadcza że nie chce zostać księdzem i nie myśli zrzec się części spadku na rzecz siostry. Sprzeczka staje się coraz żwawsza, stary grozi przekleństwem, ale syn go wstrzymuje:

— Zastanów się ojcze nim wyrzeczesz przekleństwo lub błogosławieństwo: kto krzywo przysiągł, tego głos nie ma znaczenia u Boga.

W tem wchodzi Vroni; oznajmia staremu jaki list do rąk dostała i grozi mu więzieniem. Ferner złamany na duchu, knuje zbrodnicze plany. Franciszek znając charakter ojca i bojąc się, aby też nie popełnił drugiéj zbrodni, idzie do Burgerliesel. Vroni dowiedziawszy się o przyczynie jego przybycia uczuwa dla niego wdzięczność, a właściwie oboje uczuwają skłonność ku sobie.

Podczas gdy Franciszek udał się do lasu spodziewając się, że ojciec będzie tamtędy przechodził, stary przybył pod okno Vroni ze strzelbą i groził że ją zabije, jeźli mu listu nie odda. Vroni, aby się go pozbyć, powiada że Franciszek wziął list. Ferner więc zostawiwszy Vronię w śmiertelnéj trwodze, idzie szukać syna. Schodzą się obadwa w lesie i Ferner żąda od syna zwrotu listu.

— Kto powiedział, że ja go mam pyta Franciszek.

— Ona sama, odrzekł stary.

— Ha, kiedy tak, to zapewne prawda, mruknął syn...

Stary grozi i klnie. Syn odpycha go i dostaje się na most.

Ferner woła:

— Na Boga Franciszku, jeżeli listu nie oddasz, zastrzelę cię jak kozę.

— Nim położysz palce na kurku, woła syn, pom-

nij że te sam palce podnosiłeś do przysięgi, a potem strzelaj jeżeli możesz!

Stary odchodzi od zmysłów strzela, Franciszek spada z mostu w wodę.

W pierwszéj chwili Ferner przeraził się zbrodnią którą popełnił, ale wnet przychodzi mu na myśl, że to zesłanie Boże, klęka więc i dziękuje Bogu że go wydobył z kłopotu zabierając świadka, jak nie mniéj i za to korzystne zarządzenie że z tym świadkiem ginie oraz i ów list fatalny.

Franciszek jednak nie zginął, jest tylko ranny. Vroni znalazła go, pielęgnuje, miłość przenika serca obojga.

Tymczasem stary zachodzi przypadkiem do chaty jakiejś staréj kobiety, która właśnie opowiada dzieciom legendę o potępieńcu, dziwnie do jego przygód podobną. Opowiadanie to sprawia na nim tak silne wrażenie, że nim opowiadająca doszła do końca, pada tknięty apopleksją i umiera.

Podczas gdy dzwony kościelne śmierć jego ogłaszają, Franciszek i Vroni ślubują sobie miłość dozgonną, poczem Vroni pali list. Sztuka kończy się zaręczynami Franciszka z Vronią, a Toniego z Krescencją.

Od listopada mamy w nowem muzeum wystawę przemysłową, która trwać będzie do końca tego miesiąca i jest próbą tego, co Austrja będzie mogła dać na wystawę powszechną w 1873 roku urządzić się mającą. Nowy gmach muzeum mieści się w jednem z najcelniejszych miejsc Wiednia Ringstrasse obok parku miejskiego, i jest utworem jednego z najznakomitszych architektów wiedeńskich Henryka Fertla, tego samego który jest twórcą kościoła ślubowanego Votivkirche, należącego do najcelniejszych w świecie pomników budownictwa. Atoli muzeum to zewnętrznością swoją nie sprawia wcale tak potężnego wrażenia jak inne gmachy tego samego architekty. Przyczyną, tego jest nietylko nadzwyczajna prostota szczegółów zarówno w fasadzie, jak i w bocznych ścianach, lecz także sukienka, jaką to wszystko jest obleczone. Cały gmach bowiem pomalowany jest zewnątrz kolorem ciemno czerwonym, wcale nie pięknym, pod gzemsem zaś pierwszego piętra znajdują się między łukami okien medaliony, popiersia sławniejszych artystów przedstawiające, które wbrew, wszelkiem zasadom harmonji, polakierowane są na czerwono, niebiesko i zielono, co dziwną stanowi sprzeczność z całością. Dla czego się tak stało nikt nie umie wytłumaczyć, tem bardziéj, ponieważ wnętrze gmachu najwybredniejszym wymaganiom ze wszech miar odpowiada.

Powiekszéj części same tylko wiedeńskie fabryki i zakłady zapełniły wystawę. Znaczną część gmachu zajmują sławne meble wiedeńskie w najrozmaitszych stylach. Wystawcy dali całkowite urządzenie kilku pokoi ze wszystkiem co do nich należy. Tutaj odznaczają się nie tylko meble, lecz też sufity, obicia, firanki, dywany itd. Daléj następują prześliczne wyroby bronzowe, srebrne, złote, bižuterje, roboty introligatorskie itd. Niemniéj wspaniałemi są wyroby szklanne, porcelana, i kryształy, jak gdzieindziéj znowu koronki, hafty, gobeliny. Wogóle wystawa uderza przepychem i bogactwem, znajduje się tu atoli wiele rzeczy, które do ostatnich dni przed wystawą pokazywano w rozmaitych magazynach jako wyroby paryzkie, a które na wystawie wymienione są jako wiedeńskie. Przyczyną tego jest że i tu panuje przesąd, że to tylko dobrem i pięknem być może co pochodzi z Paryża, w skutek czego wielu właścicieli fabryk znajdujących się na przedmieściach Wiednia, sprzedawało wyroby swoje za francuzkie i angielskie. Najmniéj stosunkowe miejsca zajmuje w muzeum wystawa typograficzna. Są to powiększéj części dzieła należące do umiejętności ścisłych. W Wiedniu dzieła takie nie są wcale rzadkiemi zjawiskami, bo też oprócz akademji nauk znajduje się tu wiele zakładów i Towarzystw uczonych, których członkowie zajmują wysokie stanowiska w rzędzie uczonych Europejskich, jak np. Towarzystwo geograficzne, instytut geologiczny, komisya statystyczna itd. I ostatniemi czasy pojawiło się tutaj kilka dzieł poważnych, z których sprawozdanie przechodziłoby zakres niniejszego pisma.

Z działu bliżéj nas obchodzącego wymienię tu „O kobietach“ (Die Frauen) która to książka zwróciła na siebie uwagę nie tylko tytułem. lecz też dla tego, ponieważ jéj autorem jest głośny dosyć ostatniemi czasy Juliusz Pederzani do niedawna ksiądz katolicki, który bardzo energicznie powstawał przeciwko Rzymowi i nieomylności, a następnie całkiem wystąpił z kościoła katolickiego. Pisać o kobietach jest dość trudno, bo tyle już o nich napisano, że nie łatwo przydać co nowego. Z filozofów niemieckich wspomniemy tu Schoppenhauera, ponieważ i Pederzani wspomina go aż w swojéj książce. Schoppenhauer i Pederzani różnią się jak ogień i woda w swoich zapatrywaniach na kobiety. Według Schoppenhauera kobieta przeznaczona jest od natury na niewolnicę. Dowodzi tego tem, że jeżeli kobieta jakimkolwiek sposobem wyjdzie ze stosunku uległości i niewoli, szuka natychmiast mężczyzny, któryby nad nią panował. Tym panem dopóki jest młoda, bywa kochanek, późniéj spowiednik. Według Schoppenhauera kobiety są nawet istotami niższego rzędu. Mężczyznę i kobietę uważa on jako dwa przeciwne bieguny, z których atoli jeden jest silniejszy a drugi słabszy, i sądzi że ludy azyatyckie bardzo rozsądnie obchodzą się z kobietami a szydzi z galanterji ludów ucywilizowanych. Śmiejmy się wszyscy z tych zapatrywań niemieckiego filozofa, ale i to co mówi Pederzani, chociaż wprost przeciwne tamtemu, nie zadowolni ani mężczyzn ani kobiet. Cała jego książka zapełniona jest samemi pochlebstwami, samemi dytyrambami na cześć kobiety. Mniemamy że ubliża tem kobiecie tak samo jak Schoppenhauer, przypominając suplikantów, którzy w rozmowie z wysoko stojącemi osobami traktują je coraz wyższemi tytułami. Kwiecisty styl i bujna fantazya autora czynią jego książkę bardzo ponętną, ale właśnie przez to może się ona stać bardzo szkodliwą.

„Duszą kobiety, a oraz palącą potrzebą, gorącem jéj serca pragnieniem jest miłość“, woła głosem łabędzim Pederzani.

„Miłość jest potęgą.“ pisze w innem miejscu, przy pomocy któréj kobieta zawsze zwyciężać i zawsze panować będzie; ona jest wiarą jéj i celem nadziei. Miłość jest jéj cnotą i grzechem, religją i występkiem. Miłość stwarza jej niebo i piekło, miłość przemienia ją w *bóstwo*. Dla tego każdemu sercu kobiecemu powtarzajcie ustawicznie: kobieto kochaj, bo miłość jest twojem życiem..

...Nigdy myśl ludzka nie zdoła pojąć moralnéj piękności duszy kobiecéj, nigdy duch ludzki nie zgłębi serca kobiecego, ani żadne słowo ludzkie nie zdoła téj piękności opowiedzieć, a szczególnie mężczyzna, ten duch zimny, obłudny, wiecznie rachujący nie zdoła nigdy zrozumieć serca kobiecego. Pozostanie ono dla niego zagadką aż do kresów wieczności, gdzie wszystkie zagadki będą rozwiązane.....“

„....Z tonącéj nawy materjalizmu, która codzień wyrzuca na brzeg ofiary zmarnowanego w rozpaczy życia, kobieta nas wyratuje. Jéj wschodzi jutrzenka wolności... Obok wolnego mężczyzny stanie wolna w społeczeństwie kobieta. Przez nią zakwitnie nowe życie; z niéj powstanie nowy element moralności. Ona otrzęsie z nóg proch powszedniości i wytępi ostatnie tradycje fanatycznéj wiary średniowiecznéj i teraźniejszego materjalizmu.,. ona stanie się życiem i nadzieją przyszłych pokoleń. Oto wielka misja kobiet. Po nad odmętem zamieszek religijnych unosi się Duch Boży, duch wiecznéj miłości.... jego kapłankami są kobiety...“

Zdaje mi się że kilka tych wyjątków wystarczą do scharakteryzowania tak książki o któréj mowa, jak i dróg które twórca nowéj religji wskazuje płci niewieściéj.

Wspomniałem kilka razy o tutejszych wydawnictwach ludowych, znanych pod nazwą bibliotek pięciocentowych. Są to wydawnictwa czysto spekulacyjne obliczone na zamiłowanie uboższéj ludności w czytaniu powieści, odmawiającéj sobie często kawałka chleba dla kupienia książki. Zamiast przedmiotów treści moralnéj, które mogłyby wywierać korzystny wpływ zarówno na umysł jak serce czytelników bawić i uszlachetniać ich zarazem, wydawcy bibliotek pięciocentowych siłą się na rozognienie ich wyobraźni, na schlebianie ich namiętnościom, lub szerzą między nimi zgubne komunistyczne pojęcia. Tu należą np. przeszłoroczne powieści „Biały duch z Rothethurmstrasse,“ „Rycerze skrwawionéj ręki,“ „Szklanne oko“ i wiele innych z takiemi dziwacznemi tytułami, w których nietylko formy i ładu, ale nawet rozsądnéj myśli nie znajdziesz. Na rok bieżący znowu mnóstwo takich wydawnictw zapowiedziano. Podziwiam olbrzymi rozrost literatury niemieckiéj, podziwiam dzieła klasyków, dramaturgów, poetów i myślicieli niemieckich, nawet kompilatorów a unoszę się nad tem wszystkiem, co w Niemczech na drodze praktycznéj dla ludu zrobiono, ale od wydawnictw ludowych, tutejszych przynajmniéj, odwracam się ze wstrętem, bo pewnie w żadnéj literaturze nie znajdzie tyle, i tak podłéj frymarki słowa. W pierwszych nawet czasach mojego tutaj pobytu serdecznie ubolewałem nad ludem którego literatura dostała się w tak niepoświęcone ręce. Rozpatrzywszy się bliżéj w stosunkach, widzę że nie było nad czem ubolewać. Wart Pac pałaca a pałac Paca.

Czytaliśmy temi dniami w dziennikach poznańskich krytyczne rozbiory artykułu historyka europejskiéj sławy Cezara Cantu o Koperniku, zamieszczonego w czasopismie Archivio storico Italiano wychodzącem we Florencji a w którym sławny historyk częścią z umysłu a częścią przez niewiadomość podał mylnie i fałszywie wszystkie szczegóły wielkiego naszego astronoma dotyczące. Nigdzie atoli nie zdarzyło się nam spotkać krytycznego rozbioru, nieco dawniejszej rozprawy innego cudzoziemca, o sławnym fizyku i matematyku naszym Vitellionie, Ciołku. Jest nią Sur l'ortographe du nom et la patrie de Witelo (Vitellion), note de M. Maxim Curtze, prof. Rome 1871. Autor dowodzi tu że matematyk o którym mowa, zwany w niektórych dokumentach Witilo, Witulo, Widilo Widelo, Widulo, i Wyitelo, nazywał się właściwie Witelo i że z tego nazwiska, które z polskiem Ciołek nie ma nic wspólnego, a które natomiast ma być pospolitem w Turyngji, zrobiono łacińskie Vitellio, Professor Curtze powiada że wspomniony fizyk w liście do biskupa Koryncknego Moorbaki z Brabantu, 10 ksiąg jego optyki poprzedzającym, nazywa siebie synem Turyngów i Polaków (filium Thuringorum et Polonorum) i wnosi ztąd, że był zapewne synem Turynga osiadłego w Krakowie i Polki, nie zaś Polaka i Niemki jak to chciał twierdzić wydawca Thesaurus optices 1572, Fryd. Rixner, przestawiając słowo powyższe na filius Polonorum et Thuringorum, aby się przypodobać Katarzynie de Medicis protektorce swojéj, któréj syn starał się wówczas o koronę polską. Autor potwierdza wywody Dra Walentego Rose, który dowodził, że Witelio był Niemcem i mówi iż Jan Regiomontanus w mowie wstępnéj do wykładów swoich w Padwie w r. 1477 o astronomji Alfraganusa,

nazwał go Turyngiem. Według dopisku na rękopismie bereńskim, mówi Curtze, Witellio był mnichem premonstrateńskim w opactwie Vigogne pod Valenciennes, w Henegau i dla tego nazywanym był Witelio de Viennia. W końcu prof. Curtze zamieszcza biografię Witeliona z pisma Bernardina Baldi. Zapewne uczeni rozstrzygną ile to będzie możebnem kwestję, czy Witeliona możemy nazywać Ciołkiem, ale co się tyczy kwestji, czy możemy go zaliczać do rzędu naszych uczonych, to zdaje się żadnéj nie podlegać wątpliwości, skoro z takich głębokich studjów p. Curtze wynikło, że był synem mieszczanina krakowskiego i Polki

Obchodzono tu niedawno z wielką uroczystością urodziny komedjopisarza Bauernfelda, 70 letniego starca, w podobny sposób jak w roku zeszłym urodziny dziś już zmarłego Grillparzera.

Bauernfeld był przed laty nizkim urzędnikiem przy loterji, lecz urząd ten porzucił. Odtąd pobierał emeryturę w kwocie 420 guldenów rocznie, którą mu teraz podwyższono do 1,000 guld. Miasto Wiedeń nadało mu honorowe obywatelstwo, rozmaite stowarzyszenia przysłały delegacje, a wieczór odbyła się na cześć jubilata wielka uczta. Jest więc kraj na ziemi, w którym umieją czcić swoich poetów, przynajmniéj w siedemdziesiąt letnią rocznicę ich urodzin.

St. Nowiński.

Zapytanie!

W małem gronku przyjaciół i znajomych, lubiących rozprawy bez wrzawy a obstawanie przy swojem zdaniu bez wstrętnéj uporczywości, niedawno poruszyliśmy ważną kwestję oświaty, z któréj wynikły pewne wątpliwości, a raczéj zapytania wyczekujące jeszcze nie tylko w nas, ale i w całéj podobno Europie stanowczego rozwiązania. Idzie tu o to: czy szerzenie światła umysłowego za pomocą nauki, ma być ogólne a nawet przymusowe, czy też ograniczone do pewnych warstw społecznych, z zupełną swobodą wyboru środków do tego posługujących? Czy szerzenie oświaty ma mieć na celu, wprowadzanie całego ogółu do przybytku wiedzy ludzkiéj, czy też tylko do jego przedsionka?

Rozwiązania tych pytań nie wymagamy od Was panie Redaktorze, bo czytając od lat wielu Wasze pogadanki, w których tyle o pracy kobiet, o wychowaniu i potrzebie oświaty pisaliście, już wiemy z góry jaka będzie odpowiedź. Ale żądamy kawałka miejsca w Waszem Tygodniku, na pomieszczenie téj naszéj odezwy, aby przeczytana mogła być roztrząsaną w innych kółkach towarzyskich, i tak przechodząc z ust do ust, z domu do domu, coraz bliższą była prawdy o którą głównie wszystkim nam idzie. Zwolennicy ograniczeniu oświaty do samego czytania, pisania, rachunków i katechizmu, powiadają: że nauka wzmaga potrzeby a odstręcza od pracy fizycznéj, że gdy wzrastać będzie liczba pożądających, a umniejszać pracowników przy pługu i warsztacie, równowaga w społeczności musi się popsuć co narazić ją może na wielkie i niepowetowane niczem szkody.

Dowiedzione jest bowiem, że w miarę rozwijania się umysłu i wydobywania z ciemnicy, człowiek innego już wymaga pokarmu, innéj szuka rozrywki, wygodniéj pragnie mieszkać, ubierać się, piękniejsze mieć domowe porządki, wykwintniejsze zachciewki, a przedewszystkiem szuka zajęcia mniéj fizycznie utrudzającego i już nie chce być prostym oraczem ale co najmniéj jego dozorcą jeżeli nie posiadaczem obszernéj roli; nie kowalem lub stelmachem ale zwierzchnikiem warsztatu jeżeli nie zarządzającym fabryką. Jeżeli więc rozszerzenie oświaty doprowadzi większość do podobnych pragnień, to mniejszość nie wystarczy na potrzeby większości, a wtenczas co się stanie? Miasta Francji dają już na to odpowiedź. Tam cała robocza ludność z zawiścią spoglądała na zamożniejszych przemysłowców, fabrykantów i przedsiębierców; najprzód żądała umniejszenia godzin pracy, później powiększenia dziennego za nią wynagrodzenia, a w końcu prawie wszystkiego. U nas włościanin skończywszy szkołę nie wraca nigdy do roli, to samo rzemieślnik, lub syn fizycznie pracując u ojca; mamyż więc sami mnożyć podobnych zbiegów z równą ich jak wszystkich szkodą? Niech więc ogół uczy się ale w granicach ściśle oznaczonych, niech czci Boga, kocha pracę, brzydzi się występkiem, modli się i żyje cnotliwie, a wszystkim będzie dobrze i on będzie szczęśliwym. Do postawienia go na tem umysłowem stanowisku nie potrzeba wiele, religijne wychowanie wystarczy tu zupełnie czysto zaś światowe obałamuci i podnieci żądze bardzo szkodliwe.

Na rozumowania te przeciwnicy odpowiadają.

Jeżeli dowiedzionem jest, że nauka mnoży potrzeby w ludziach i odpycha od pracy fizycznéj, to także jest niezaprzeczoną prawdą, że ludzie wyzyskiwać umieją nawet najświętsze rzeczy, a szczególniéj massy ciemne i nie wykształcone. Zręczność jaką w tym razie rozwijają godna nieraz wielkiego podziwu. W społecznościach zatem gdzie ogół ciemny, źli nie przebierając w środkach zagarniają wszystkie dla siebie korzyści, bo zwykle są skrzętniejsi i zabiegliwsi od dobrych.

Że zaś im człowiek rozumniejszy tym się staje mniéj biernym, należy więc starać się aby ogół nie tylko uczył się o ile można najwięcéj, ale nawet żeby się musiał uczyć choćby nie chciał.

Co do wstrętu do pracy fizycznéj, wytwarzającéj się niby z nauki, to ten tylko tam powstaje, gdzie możność wykształcenia jest utrudnioną, i gdzie tym sposobem jedynie z pośród mass ciemnych wydobywają się jednostki, wspomożone albo szczęśliwym zbiegiem okoliczności, albo własną wrodzoną zdolnością. Te bowiem widząc, że przy pracy fizycznéj pozostają tylko massy ciemne, a do kierunku jéj idzie sama inteligencja, cóż dziwnego że chcą ją naśladować? Nie z nauki więc wyradza się wstręt do pracy ale ze złego jéj zastosowania w porządku społecznym, powstającego z małego przybytku jednostek prawdziwie wykształconych.

Wreszcie jeżeli nauka jest pożyteczną, to taką jest dla wszystkich nie dla cząstki wybranych jeżeli szkodę przynosi to także wszystkim należy więc ją usunąć i wrócić do pierwiastkowéj prostoty. W upowszechnieniu jéj największem wyrobione pojęcie godności pracy, rozłoży ją w społeczności według rzeczywistego usposobienia jednostek, i jedni chętnie zostaną przy pługu i siekierze, drudzy przy piórze lub zwierzchnictwie. Pomnażanie zaś potrzeb wzmoże usilność w pracy, zrobi ją lepszą, więcéj ułatwioną, dozwoli stosowania do niéj nowych zdobyczy naukowych, tym sposobem byt robotnika będzie się poprawiał, wzmagać ogólne bogactwo, bo owoce z jednéj i tejże saméj ręki będą i obfitsze i większéj wartości. Dowodem tego ogólnie niski stan całego naszego rolnego i rzemieślniczego przemysłu, który nas zmusza wszystko, jak to mowią, od *A* do *Z* sprowadzać z zagranicy. Czysto elementarne wykształcenie jakkolwiek usunie wiele złego, ale nie zapobiegnie mu skutecznie, bo czcić Boga jak przynależy myślą nie przepisem, szanować pracę z całem pojęciem jéj godności i pożytku, brzydzić się występkiem, kochać cnotę i pragnąć być cnotliwym to rzeczy nie małéj wagi: trzeba i uczyć się i umieć wiele aby pojęcia te posiąść i wcielić je w jednostki do tego stopnia, aby aż nadały charakter całéj społeczności.

Otóż mniéj więcéj kwestja oświaty tak się nam przedstawiła. Przeciwników nieograniczonego jéj szerzenia jest bardzo wielu, i dlatego wnioski w izbach sejmowych wielu krajów, domagające się przymusowéj nauki i większego uposażenia nauczycieli szkół elementarnych, tak energiczny znalazły opór, gdzie zaś przeszły nie znalazły ludzi do wykonania.

Jeżeli to pierwsze pytanie ogłosicie panie Redaktorze w swoim Tygodniku, od czasu do czasu przesyłać wam będę i inne, bo gronko nasze bardzo jest ruchliwe i w rozmowach swych nie pomija nic co prawdziwie ogół może zajmować.

M. H.

O ubiorach.

Korespondencja z Paryża.

Kiedy się widzi na ulicy kapelusze kształtu pruskich kaszkietów, przesadne turniury, dziwaczne draperje a jeszcze dziwaczniejsze przystrojenia sukien, to doprawdy powątpiewać należy nieraz o zdrowych zmysłach paryzkich elegantek. Niemożna jednak śmieszności tych przypisywać jedynie modzie, przeciwnie z wyjątkiem kapeluszy które tego roku są dziwacznie brzydkich kształtów, widziemy obfite wzory ubrań zalecających się prostotą i prawdziwie wykwintnym gustem. Wprawdzie prostota ta nie przeszkadza przystrajaniu sukien, ale cechuje ją wybitnie usuwanie z ubrania wszystkiego, co stanowi zbytek, i wszelką przesadę.

Moda więc podaje wzory rozmaite, czyjaż więc wina że wybieramy rzeczy najbardziéj oryginalne co najmniéj zgodne z rozsądkiem?

W chwili gdy to piszemy, na suknie przeznaczone do częstszego użycia, noszą najwięcéj materjał zwany „drap Montpensier“. Jestto wyrób wyborny, bardzo na dobie a nie tyle ciężki i drogi co sukno zwyczajne, chociaż ma jego pozór.

Do sukien takich używa się tunika nieodcinana od stanu, nazywająca się tu „casaque tunique“ zapinająca się od góry do dołu na guziki, do czego czasem dodają na staniku wyłogi aksamitne, co razem dobrze wygląda.

W ogólności ubrania sukien, czy to z sutaszu czy z plisek aksamitu, atłasu, lub frendzli zawsze dają się z tego samego koloru co cały kostium, a wszystkie staniki nawet balowe, mają kształt dłuższych lub krótszych kaftaniczków ubranych odpowiednio sukni.

Oto wzór sukni codziennéj, z sukienka koloru granatowego. Spódnicę zaledwie dotykającą ziemi otacza cztery plis dwucalowéj szerokości z tegoż co suknia materjału z wypustkami z atłasu granatowego. Stanik nieodcinany od tiuniki, tworzy z przodu krótkie poły, jakby od paltocika do figury, z kieszeniami, wszystko ubrane pliskami z wypustką, jak spódnica, z tyłu zaś formuje długą podpinaną tiunikę, która podpięta jest z boków tak że zdaje się tylko być podwiniętą. Stanik na piersiach jest wpół otwarty z wyłogami z wypustką. Rękawy wązkie ubrane pliską dwa razy naszytą.

Drugie ubranie domowe było takie: kostium z kaszmiru koloru kawy mlecznéj. Spódnica dolna oszyta falbanką marszczoną cztery razy w około bez odstępów, nad tem dane są dwie pliski z tegoż co suknia materjału. Zwierzchnia spódniczka z przodu tworzy okrągły fartuszek oszyty falbanką, z boku objęta jest dwoma pliskami i przedłużona w ten sposób że tworzy suknię powłóczystą. Stanik z baskiną przedstawia krótki kaftanik do figury oszyty odpowiednio falbanką i pliską, otwarty z przodu i z rękawami nieco rozszerzającemi się od łokcia i ubranemi odpowiednio. Dopełnienie stroju stanowi kołnierzyk szeroko wykładany z koronki, zakończony kokardą niebieskiego koloru. Czepeczek na głowę z odpowiedniéj koronki i kokardki, oraz na szyi czarna aksamitka ze złotym medaljonem.

Chociaż wszystkie suknie wieczorowe robią powłóczyste i tu jednak moda tegoroczna stanowczo usuwa przesadę, do czego kobiety rozsądne chętnie się przychylają. Na spódniczki dolne muśliny, tarlatany i krepy więcéj są używane niż jedwabie bez których przed kilkoma laty suknia balowa obejść się nie mogła, i stanowiło główny wydatek stroju. Dziś najwięcéj noszą sukien muślinowych, tarlatanowych lub krepowych białych, a tiunikę i staniczek z materji jedwabnéj w kolorze jasnym ubrane koronką białą. Jestto moda jak można najbardziéj oszczędna bo zmieniając tiuniki, suknię białą można użyć kilka razy będąc zupełnie inaczéj ubraną.

Tiuniki czarne koronkowe mają również wielkie powodzenie, gdyż jedna może służyć do kilku sukien jedwabnych, zdobiąc je i przykrywając jeżeli nie są pierwszéj świeżości, a z dodaniem małéj berty do stanika stanowią bardzo wspaniałe ubranie dla mężatek.

Ubrania głowy, są albo bardzo skromne i proste albo też bardzo przesadne. Jedne kobiety poprzestają na ubraniu głowy w warkocze, które nad czołem tworzą djadem, z tyłu spadają wolno aż do pasa splecione i zakończone kokardami ze wstążki, inne też same warkocze, upinają w ten sposób, że tylko tworzą długi kok, spadający do połowy pleców.

Do takiego uczesania dostateczną jest kokarda z jasnéj wstążki lub pojedynczy kwiat.

Inne znowu kobiety układają włosy z tyłu głowy płasko i jak można najdłużéj w formie grubych loków, pomiędzy któremi i warkocze bywają upinane. Takie uczesanie przystoi tylko do bardzo strojnego ubrania i do tego potrzebny jest wianek z długo spadającą gałązką lub kitką z kwiatów.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego ul Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 7 r. 1872.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

— Tak, i koniec! — przerwała hrabina, ale ufności nawet nie masz pan we mnie. Powiedz że mi choćby przy rozstaniu, kto jesteś? skąd przychodzisz? do jakiego należysz świata? przecież może zasłużyłam choć na tyle.

— Przebacz mi pani milczenie moje, — rzekł Gabriel — panią ono drażni, mnie nieszczęśliwym czyni, lecz gdybym milczał dla tego, aby nie być odepchniętym, aby dłużéj mieć prawo do jéj współczucia?

— Cóż to jest? przerwała nagle hrabina — nie rozumiem, miałże byś pan istotnie co na sumieniu? co w przeszłości?

Żywo podniósł głowę Pilawski. — Ah pani, — zawołał — nie rozumiesz mnie! Żyjemy przecież w świecie, w którym panują jak za dobrych czasów pewne podziały społeczne, pewne klassyfikacje, których piętna ani wychowanie, ani ukształcenie nie znosi.

— Jakie klassyfikacje? szlachty i nieszlachty, rozśmiała się ruszając ramionami Palczewska.

— Chociażby, — cicho odpowiedział Pilawski, — pan Karol Surwiński nader nieszczęśliwie i nietrafnie, jak mi pani mówiłaś, domyślał się we mnie ukrytego Piławity! Niestety! z Piławą nie mam nic wspólnego, nic z arystokracją, nic ze szlachtą, jestem dzieckiem ludu, ojca nie znałem, nie pamiętam prawie matki, należę do téj klassy społeczeństwa, któréj zadaniem pokorna i cicha praca.

— Ależ pan jesteś wychowanym jak książątko? zawołała wstając z krzesła hrabina, — pan jesteś bogatym.

— Winienem wychowanie przypadkowi, a majątek dobrodziejstwu, które mnie nim obdarzyło. Chciałaś pani, racz więc posłuchać wyznania mojego, a przebaczyć, że nie przyszło wcześniéj. Jest to grzech i wina, boć za fałszywym biletem nie powinienem był dostawać się tam, gdzie nie dla mnie miejsce.

Hrabina, która się była z siedzenia porwała, ognistem wejrzeniem zmierzyła Pilawskiego i siadła oparta na łokciu, brwi jéj ściągnęły się, smutek osłonił twarz. — Mów pan, odezwała się po cichu.

Gabriel począł powoli.

— O ile wiem od mojego przybranego ojca, i sam sobie jak przez sen przypomnieć mogę, mieszkałem na poddaszu z biedną, ubogą kobietą, która była matką moją. Żyła z pracy i była chorą, duma jakaś czy rozbicie się o nieczułość ludzką sprawiły, że w końcu wolała umrzeć z głodu, niż kogokolwiek o pomoc poprosić. Zmarła więc z choroby i niedostatku, a ja przy jéj zwłokach przytulony miałem też zasnąć od głodu na wieki, nawykłym będąc jedną tylko matkę znać na świecie, gdy właściciel domu, wyłamawszy drzwi, wyratował mnie i od trupa oderwał. Tym człowiekiem, któremu winienem wszystko był stary, bezdzietny kupiec, mieszczanin i rzemieślnik Warszawski. Na rękach omdlałego zaniósł mnie do siebie i nie opuścił już więcéj. Przyjął za syna, oddał po sobie pracą wieków zebrany majątek, a wychował mnie jak pańskie dziecię umyślnie tylko aby pokazać, iż nie będąc panem z rodu, można się nim stać przez wykształcenie. Jestem więc sztucznie stworzoną istotą, która osamotniona stoi w pośrodku żywego świata, niewiedzieć dokąd się obrócić, a z kim żyć, do kogo przylgnąć sercem. Słowo zagadki jest w tem, żem milionowy rzemieślnik, bo mego zawodu i powołania nie rzucę.

— Rzemieślnik! — zawołała hrabina uderzając rękami — pan, pan mógłbyś być rzemieślnikiem?

— Jestem nim pani i wyprzeć się tego nie mogę, — odpowiedział Pilawski, — i oto dla czego milczałem, oszukiwałem was, dla czego byłbym wyśliznął się niepoznany, gdyby nie rozkaz pani.

— To nie może być! — powtórzyła Palczewska — *Mais c'est, à en perdre la tête!* Ah, nie, pan żartujesz!

— Niestety, pani, nie śmiałbym, — mówił Gabriel poglądając na nią. — A jeśli samo to imię takie na pani czyni wrażenie, jestem poniekąd usprawiedliwionym, żem się krył tak długo.

— Ale dopowiedz że mi pan już raz tę swoją całą historję, — zawołała hrabina, — przyznaję się, że tego nie rozumiem, żem się wszystkiego w świecie spodziewała, przecież nie tego co jest.

— Przyznaj się pani, że rychléj byś mi może pani przebaczyła trochę tego szulerstwa, o które mnie łaskawie obwinił pan Greifer, niż to rzemiosło!

— Pan mnie znowu nie rozumiesz, — przerwała hrabina, — wolę przecież uczciwego rzemieślnika, niż awanturnika, ale cóż za rzemiosło, co? mów pan raz...

— Mój opiekun — począł Gabriel z uśmiechem sarkastycznym — mój opiekun miał wielki magazyn sukien i sukna. Był on po prostu tym, co we Francji zowią *Marchand tailleur*, a ja po nim w spadku wziąłem rzemiosło i wszystko.

Hrabina rzuciła nań ukośne wejrzenie, pełne wyrazu jakiegoś niezrozumiałego, dziwnego w głosie, i w oczach jéj znać było więcéj niż nieukontentowanie, coś nakształt gniewu za doznany zawód.

— Ale pan masz milionowy majątek...?

— Mniejszy niż paryzki Human, — rzekł uśmiechając się Pilawski, — choć dla mnie wystarczający bardzo, bo mi dozwala dogadzać nawet moim fantazjom, kupować obrazy, zbierać książki, a czasu mi moje rzemiosło nie zajmuje tyle, ażebym czytać i rysować nie mógł.

Hrabina ruszyła ramionami.

— To jest już jakieś demokratyczne dziwactwo, trzymać się bez żadnéj potrzeby przy rzemiośle! zawołała. — Pan sam mówisz, że czujesz iż cię to z towarzystwa wyłącza.

— Ale przecież pani to uczuje, że piętno to, jakie na mnie włożyła praca, jest niestarte. Mogę zrzucić z siebie ciężar, jeśli się to tak nazwać podoba, namulony kark zostanie.

Hrabina poczęła się przechadzać po pokoju. Znać było po niéj ostygnięcie nagłe i zły humor widoczny. Gabriel też posmutniał.

— Widzi pani hrabina, — rzekł, jak słusznie w pełnem poszanowania oddaleniu trzymałem się zawsze, *à une distance réspectueuse* od państwa, dla czegom się nie cisnął, ale uciekał. Wszak miałem słuszność!

P. Palczewska nic nie odpowiedziała, chodziła zadumana po pokoju, jakby walcząc z sobą.

— Ah mój Boże! — zawołała, — mój Boże, to grozi śmiesznością, to pańskie incognito i ta cała historja. Gdyby się raz dowiedziano, żeśmy.. żem...

Nagle zamilkła, ruszała tylko ramionami i uśmiechała się do siebie. Pilawski patrzał i milczał, a czekał.

— To wyznanie pańskie, — odezwała się stając nagle naprzeciw niego, — któreś mi uczynić musiał, niechże zostanie między nami. Nie ma potrzeby objawiać téj dziwnéj tajemnicy przed wszystkiemi. Sądzę, że nawet poczciwego Baroneta wiadomość ta napełniłaby zdumieniem i trwogą. *Que voulez vous*, żyjemy w świecie rzeczywistym a nie socjalnych teorji i ideałów, musimy się rachować z tem, co nas otacza, bo my tego zwyciężyć nie potrafimy. Możesz pan być, jak jesteś najmilszym, najwykształceńszym, najprzyzwoitszym z młodych ludzi, to nie przeszkadza, by pana towarzystwo nasze nie wyłączyło dowiedziawszy się, że jesteś... krawcem!

Ostatnie słowo wymówiła po cichu, stanęła, tupnęła nóżką i dodała:

— Ale pan zmyślasz! pan sobie żartujesz ze mnie. Podobne historje w żywym świecie się nie trafiają.

— Nie często, to pewna, — odrzekł Pilawski, — czasami jednak, jak pani widzi.

— Przepraszam, ale któż była matka? kto ojciec? może w tem tkwi jaka tajemnica?

— Gdyby nawet była, — rzekł Gabriel, — ciężar lat dwudziestu kilku ją przytłoczył. Matka moja była ubogą, o ojcu nic nie wiem, a imię nawet tak jest pospolite i nic nie mówiące, że z niego nic się domyśléć niepodobna i jak pani powiadasz, trzeba się z rzeczywistością przejednać, i z nią tylko rachować.

— Lecz cóż za myśl dzika była tego człowieka, który pana wychować chciał na *un homme de loisir*, a przykuł do taczki.

— Nie zaręczyłbym, — szepnął Pilawski, — że stary poczciwy Pilawski chciał właśnie przygotować może tę smutną scenę, jaką ja dziś odgrywać muszę.

Nastąpiło znowu długie milczenie. Hrabina żywo przechadzała się po pokoiku, niekiedy westchnienie wyrywało się z jéj piersi, marszczyła brwi, tarła skronie, chwyciła flaszkę z wódką kolońską i oblała nią głowę. Nagle rzuciła się w fotel naprzeciwko Pilawskiego, spojrzała na siedzącego, zadumanego, ale spokojnego człowieka, wzdrygnęła się i zawołała.

— Takie to dziwadła wydaje wiek XIX! Ale pan jesteś u nas anomalją, czemś co się w słoju do spirytusu nadało, nie do chodzenia po świecie żywych. Pan nie masz miejsca, pan będziesz najnieszczęśliwszym z ludzi, jeśli nie porzucisz tego niepotrzebnego śmiesznego rzemiosła! Cóż panu pozostaje, albo towarzystwo czeladzi rzemieślniczéj, albo zupełne osamotnienie, albo kradzione chwile jakieś, wśród ludzi którym, jak Surwińskiemu wydasz się utajonym Piławitą.

— Ale ja to wszystko doskonale rozumiem, — rzekł Pilawski, — i zrezygnowany jestem los, jaki na mnie spadł, cierpliwie znosić do końca.

— Przecież się pan musisz ożenić? więc z kim? z krawcówną? cha! cha! — rozśmiała się, — jeśli się zakochasz w panience o antenatach i herbach, co najmniéj wymagać będzie, ażebyś te obrzydliwe nożyce porzucił i o nich zapomniał.

— A tego ja właśnie uczynić nie mogę, i raz dlatego żem ojcu przyrzekł wytrwać na stanowisku, potwóre, że mam moją rzemieślniczą dumę i mówię sobie, że moja tarcza z nożycami otwartemi, warta tyle, co paweża z podkową jakąś i orłami. Człowiek nie jest panem swoich przeznaczeń, los mu je narzuca w kolebce, wartość zaś jego stanowi zwycięzka z własnemi losami walka, dźwiganie ich i podołanie temu co jest, a nie wybijanie się z placu i szranków, w których mu pozostać przeznaczono. Przyzna pani, że apostazja nawet nożyc krawieckich, zawsze jest poniżającą. Człowiek winien tak czuć godność swoją, tak ją nosić wysoko, by nią uzacnił czego tylko dotknie.

P. Palczewska ruszyła ramionami. Widać było, że teraz dopiero wychodziła jakby ze snu długiego, budziła się i usiłowała oprzytomnieć. Jedna chwila zmieniła ją zupełnie. Czułość, jaką okazywała Pilawskiemu, ostygła, widać było usposobienie jakieś nowe, prawie gniewne. Śmiała się szydersko z siebie, ruszała ramionami, nie wiedziała co począć, jak się rozstać z tym człowiekiem, któremu rzucając ostatnie pytanie, spodziewała się w odpowiedzi może tragedjodramatu, okropności jakichś, ale nie tak trywialnego rozwiązania. W głowie jéj się to pomieścić nie mogło. Patrzała na Pilawskiego, który przed godziną wydawał się jéj tak szlachetną istotą, tak idealnym młodzianem, a teraz...— Ai, fe! krawczyk! krawczyk! powtarzała w duchu. — *Mais c'est du dernier ridicule.*

Cóż z tem było przecież począć? Serce, które przed chwilą rwało się jeszcze do tego człowieka, pod wrażeniem rozczarowującego słowa, odkrywało w nim teraz pewne znamiona prozaiczne, których zrazu nie widziało. Był jeszcze przystojnym, był dosyć wytresowanym, ale ta sztywność, ta wstrzemięźliwość i skromność jego zdradzały człowieka, który nie był *urodzonym* i nie należał do *świata*.

Godzina była spóźniona, nazajutrz miano się rozjeżdżać, na ranek były jeszcze różne piękne projekta, teraz wszystko zostało zachwiane. Hrabina myślała tylko o tem, jakby co rychléj uciec, nim by się niefortunna tajemnica wydała. Nie wiedząc co mówić, co z sobą zrobić, wstała i podała rękę Pilawskiemu. — Do jutra — rzekła głosem cichym — nie spowiadaj że się pan nikomu, to niepotrzebne... Dobranoc.

Zawołała na pannę Salomeę, która weszła razem z Anglikiem i Surwińskim. Wiliam i panna po wrażliwéj nader twarzyczce hrabinéj poznali, i domyślili się jakiéj doznanéj przez nią przykrości. Była nie w swoim humorze, milcząca, skłopotana i zapomniała nawet troszczyć się jak zwykle o swojego chorego, którego milczącym żegnała tylko ukłonem. William czuł się w obowiązku odprowadzić. p. Palczewską do drzwi jéj i w pół godziny powrócił. Z Pilawskim byli od Tatrów na stopie dobréj przyjaźni. Anglik znajdował Gabriela tak miłym, tak dla siebie sympatycznym, iż z nim przyszedł do braterskiéj niemal poufałości. O co u Anglika trudno. Miał on to poczucie przyzwoitości, iż się wcale o przeszłość przyjaciela, o jego stan i stosunki nie dopytywał. Wróciwszy po przeprowadzeniu hrabinéj, Anglik przyszedł wprost do Pilawskiego.

— Cóż się stało hrabinie? spytał — byliśmy w drugim pokoju, czy rozmawiałeś z nią? Miałżebyś jéj co przykrego powiedzieć? Idąc do domu była pomięszaną, zniecierpliwioną, milczącą. Co to jest?

— Nie ma w tem winy mojéj — rzekł Gabriel — nie mówmy o tem, Sir William, najrozumniejsze kobiety i hrabiny, są przecież w gruncie kobietami i hrabinami.

— Aleście byli z sobą tak dobrze.

— Ja sądzę, że mi hr. Emilja zachowa to uczucie przyjaźni, jakiem mnie zaszczycała — odezwał się Gabriel — ale chwilowo może być ze mnie nie kontenta. Nie znalazła we mnie tego, kogo się spodziewała, jam sobie bardzo prosty człowiek — rzekł z westchnieniem Gabriel — a ona wyjątkową istotą. Ale na dziś, dajmy temu pokój i idźmy spać, to będzie najlepiéj.

Pomimo całego męztwa i rezygnacji Gabriela, wieczór ten przykre na nim uczynił wrażenie, nie koniecznie z egoistycznych pobudek, lecz przez rozczarowanie i obnażenie prawdy. Prawda była smutną: ludzie byli ludźmi tylko.

Cicha panna Salomea, chociaż niby spuszczała oczki i nic nie widziała, bo się jéj zdawało, że do jéj obowiązków należało nie patrzeć i nie widzieć, powracając z hrabiną wieczorem po téj rozmowie do domu, a widząc panią Palczewskę w niezwykle złym humorze, przypisała to wyjazdowi pieszczonego faworyta. Rozstanie zawsze smutkiem poi. Hrabina potem przyszedłszy do domu, tak długo znowu chodziła nierozbierając się po pokoju, tak była dziwnie zadumaną, gniewną, zniecierpliwioną, tak się na wszystko rzucała i kaprysiła, że biedna panna Salomea na którą to spadało, już sama nie wiedziała czemu to przypisać miała, bo nie smutek ale rozdrażnienie niezwyczajne opanowało piękną Emilję.

Nie mogła sobie przebaczyć tego, że krawczyka wzięła za *un des notres*, że nie miała tego delikatnego poczucia odcieni, które teraz stały się dla niéj widocznemi, że ją ten układny człowiek mógł tak oszukać i długo wywodzić w pole. Cały urok, jaki go otaczał, pękł w chwili jednéj, sympatja zmieniła się w pewien rodzaj oburzenia.

— Ale bo proszę — wołała chodząc po pokoju — co za zuchwalstwo wcisnąć się w towarzystwo, stawić na równi, *avec la société* i grać jakąś rolę tajemniczą!

Prawdą jest — dodała po chwilce — że nie on się wcisnął właściwie, ale myśmy go wciągnęli. Tak, ale ta ułudna powierzchowność, to wychowanie, ta układność!

Ah! cóż się to teraz na świecie dzieje, *on ne s'y reconnait plus!*

W ciągu tego wieczora nie jedna łza zwilżyła powiekę hrabiny, musiała z sobą walczyć długo, nim przyszła do uspokojenia się i równowagi ducha, nim zacząwszy od gniewu, skończyła na smutku i wymówkach lekkomyślności własnéj. Długo nie mogąc zasnąć, śmiała się jeszcze i ruszała ramionami, i powtarzała:

— Tak się dać oszukać, tak się dać oszukać!

Najwięcéj ją kłopotało, że zapowiedziała była na jutro śniadanie pożegnalne u siebie, na które zaprosiła wszystkich pozostałych znajomych, a czuła, że na twarzy jéj będą musieli zmianę dostrzedz i będą ją sobie najdziwniéj tłomaczyć. Wstała raniéj niż zwykle i chciała posyłać po Williama, aby się jemu zwierzyć i poradzić go, co ma począć, gdy zamiast niego wszedł ubrany już z ręką na temblaku z twarzą bladą Gabriel. I on także teraz pragnął się wyłamać z tego śniadania, aby sobą nie czynić hrabinie przykrości.

— Daruje mi pani — rzekł — moją ranną wizytę, ale jestem zmuszony z powodu poczty, która odchodzi zaraz, pozbawić się przyjemności dłuższego pozostania w Krynicy i korzystania z zaproszenia pani. Muszę natychmiast wyruszyć, a nie chciałem tego uczynić, dopókibym jeszcze raz niezłożył jéj dziękczynienia za tyle łaski, za opiekę w chorobie, za wszystkie dowody niezasłużonéj dobroci.

Skłonił się nizko zdaleka, niezbliżając umyślnie i trzymając w odległości, ale nie bez pewnéj godności i dumy, hrabina patrzała nań chmurna, zarazem przejęta, poruszona, a na twarzy jéj nie można było odkryć, co się w duszy działo. Skłoniła głową pomięszana. (Panna Salomea patrzała przez szparę we drzwiach i po dawnych swobodnych rąk uściskach, nie mogła pojąć, co między niemi zaszło. Domyślała się tylko, iż nieprzyzwoitem postępowaniem Pilawski hrabinę obrazić musiał.) Hrabina zdawała się miotaną jakby dwoma sprzecznemi prądami, pragnieniem zgody i powrotu do dawnéj czułości, i niewysłowionym wstrętem. Ostatni przemógł.

— Bardzo mi żal, niezmiernie mi przykro — rzekła — ale kiedy poczty wstrzymać nie można...

Na te słowa wszedł Anglik i domyślając się treści rozmowy, choć jéj nie rozumiał, a nie wiedząc o wielkiéj zmianie jaka zaszła od wczora, wrzucił wesoło: Niech hrabina nie wierzy, jemu się nie wiem co stało, imaginacja jakaś. Sam konie zamówił na tę godzinę.

— Ale ja go wstrzymywać nie chcę — mimowoli, zawołała Palczewska zagniewany wzrok rzucając na Anglika.

Skłoniła się zdaleka, Pilawski z uśmiechem smutnym ścisnął Wiliama rękę i wyszedł spiesznie.

Hrabina się odwróciła żywo, aby ukryć zmianę twarzy. William stał i patrzał na nią zdumiony jak w tęczę. Byli sami. Anglik długo pomilczawszy odezwał się wreszcie:

— Niech że mi pani wytłomaczy, bo ja zrozumieć nie mogę, co się to stało. Rzecz jest dla mnie tem ciemniejszą, że w istocie znając Gabriela, posądzić go nie mogę, ażeby pani uchybił, a znając hrabinę przypuścić mi niepodobna, żeby wina była z jéj strony.

— Ah! Sir William — odwracając się twarzą osmutniałą zawołała pani Emilja — wina nie jego i nie moja, wina losu. Nie chcę byś pan fałszywe wyniósł pojęcia o mnie i o tym panu, wiem, że mi dochowasz tajemnicy, powiem ci prawdę.

Anglik czekał zdumiony. — Pan Pilawski — cicho przystępując doń bliżéj rzekła hrabina — ten człowiek (wskazała na drzwi), nie prawdaż, jest dobrze wychowanym, przyzwoitym, wykształconym, ma znaczny majątek, w towarzystwie najlepszem, ujść może za kogoś, co do towarzystwa należeć ma prawo, ale ten jegomość *c'est un marchand tailleur!*

Słowa te wymówiła cicho, najciszéj, ale z przyciskiem takim, z oburzeniem, ze zgrozą, z takiem wejrzeniem wywołującem pomstę nieba, jak gdyby nieszczęśliwy Pilawski popełnił najokropniejszą zbrodnię.

Anglik stał ani zdziwiony, ani poruszony, jakby nie rozumiał, o co chodziło i co w tem było tak zdrożnego.

— Wystaw sobie — dodała pani Emilia — że dopiero wczoraj mogłam na nim to wyznanie wymęczyć!

William milczał chłodno jakoś, nie mogąc się przejąć oburzeniem pięknéj pani.

— Tak, w istocie — rzekł wreszcie — nie rozumiem dlaczego się z tem do dziś dnia ukrywał, boć to powołanie jak inne i nikomu ujmy nie czyni.

— Krawiec, krawiec! — zawołała łamiąc ręce Palczewska.

Williama i to nie wzruszyło.

— U nas, pani hrabino — rzekł — główną rzeczą jest wykształcenie człowieka i majątek. Gdy ma to dwoje, ale z czasem by nawet mógł zasiąść w parlamencie. Bez wykształcenia i bez majątku położenie byłoby wcale odmiennem. Ale z tem dwojgiem!

— Ale jakże śmiał wejść w towarzystwo? — dodała pani Palczewska.

— Jak skoro go znajdowano przyzwoitym i *de bonne Société*, i u wód!

— Tak, u wód, u wód! to jedyne tłomaczenie niepojętéj omyłki mojéj, naszéj, całego naszego kółka. Lecz, wyznasz, iż dłużéj się to przeciągać nie mogło.

Anglik głową poruszył dziwnie.

— Daruj mi pani, ale, choćby był nie wiem kim, wolałbym go od Greifera, i wielu innych. A ponie-

waż byliśmy w dobrycb stosunkach, nie mogę go puścić bez cieplejszego pożegnania!

Skłonił głowę i wyszedł. Spóźnił się wszakże, bo poczta już była odeszła. Śniadanie było tem smutniejsze i kłopotliwsze dla hrabiny, że osoby przytomne nie wiedząc wcale o przyczynie odjazdu Pilawskiego i złego humoru pani, myśląc iż jéj czynią przyjemność, ciągle coś miłego, pochlebnego wtrącały o Gabrielu, rozszerzając się z pochwałami nad nim i sławiąc jego cnoty. Hrabina potakiwać nie mogła, gryzła usta, spoglądała na Anglika, darła chusteczkę i przetrwawszy parę godzin na mękach, kazała się pakować do wyjazdu. William miał jéj towarzyszyć do Castelu, stało się wszakże, iż nazajutrz list jakiś odebrał z domu, który powrót jego przyspieszył. Tłomaczył się i uniewinniał jak mógł i umiał przed hrabiną, ale jechać z nią nie było mu podobna. I nazajutrz rozbiegli się wszyscy, każdy w swoją stronę, może aby się już nigdy w życiu i na świecie więcéj nie spotkać.

Hrabina nigdy w gorszym nie była humorze.

Dnia jednego potajemnie wezwano do łoża choréj pani Domskiéj prawnika, w kilka dni potem księdza od świętéj Jadwigi. Elwira nie mogła o nim nie wiedzieć, strwożyła się, ale matka ją całując uspokoiła tem, że spełnienie obowiązku chrześciańskiego nikomu nie szkodzi, a duszę uspokaja, że przypomniała go sobie nie dla tego, by się gorzéj czuła, lecz by przez ducha ciało pokrzepić. Elwira wszakże łudzić się nie mogła, nawet twarz Geheimratha zwiastowała złą wróżbę przyszłości, wreszcie każdy dzień zamiast polepszenia przynosił osłabienie nowe i jakiś symptom groźny. Geheimrath parę razy niby dla własnéj spokojności zebrał konsylium, szeptano po cichu i nieuradzono nic, jak się zdaje, bo lekarstwa zostawały też same. Domska ciągle być pragnęła z córką i o ile jéj sił stawało, mówiła z nią o interesach swych, o przyszłości, wskazywała, jakby postąpić należało w rozmaitych wypadkach, kilka razy z przyciskiem dodała, że najlepszą radą i opieką byłby zawsze poczciwy pan Szczęsny. Wchodziła nawet w domowe drobnostki.

Wkrótce po tych przygotowaniach, które ją wysilały, pogorszył się stan choréj znacznie, postęp choroby coraz był żywszy, nadeszła gorączka, zamknęły się usta, niebezpieczeństwa taić sobie nie było podobna, rosło ono z każdą chwilą, lekarz milczał smutny. Po ciężkim dniu ostatniéj męczarni, pani Domska, odzyskawszy na chwilę przed zgonem przytomność, pożegnawszy córkę, umarła.

Elwira została się osamotnioną sierotą, samą jedną na szerokim świecie. Ubóstwo, to prawda, czyni takie sierocтwo ciężkiem do dźwigania, lecz i znaczny majątek stanowi w podobnem położeniu nie bezpieczeństwo mniéj widoczne, choć rzeczywiste. Na lep majątku biegnie i chwyta się cała ćma tych ludzi, którzy samą tą żądzą już są napiętnowani. Opędzić się im trudno, poznać ich i ocenić częstokroć niepodobna.

Razem ze śmiercią matki zjawił się na usługi czcigodny p. Szczęsny Żałobski, Elwira w pierwszéj chwili padła mu do nóg rozpłakana. — Dziaduniu, oddaję się tobie jak dziecię, rozporządzaj mną, radź, broń, słuchać cię będę, nie opuszczaj mnie!

Stary się rozpłakał także, padł na kolana i założywszy palce, poprzysiągł, iż jéj nie opuści.

Przyczyniło się to znacznie do uspokojenia Elwiry.

W testamencie znaleziono rozporządzenie tylko, stanowiące pana Szczęsnego opiekunem sieroty pełnomocnym, nieodpowiedzialnym, jedynym. Cały majątek, z wyjątkiem małych legatów dla starych sług i przyjaciół, przekazanym był córce. Nie wskazywała pani Domska, jak sobie córka postąpić miała z nim, czy pozostać przy zajęciach dawnych, czy zakład zamknąć i życia rodzaj odmienić. W kilka dni po pogrzebie, gdy opiekun sam na sam był z pupillą, Elwira pocałowawszy go w rękę, szepnęła po cichu:

— Cóż teraz będzie?

— A ja nie wiem, jak myślisz? — spytał Szczęsny.

— Mogę powiedzieć czegobym sobie życzyła? — zapytała nieśmiało Elwira.

— Mów, owszem, proszę, możesz rozkazywać, masz prawo rozporządzać, ja tylko jestem stróżem, abyś szkody nie poniosła.

— Więc powiem, dziadkowie, odezwała się śmieléj Elwira, — że jedynem mojem pragnieniem jest pozbyć się tego zakładu, który dla mnie niemiłym jest i niewłaściwym. Ja nie rozumiem interesów, a to, co mam, aż nadto mi starczy. Kapitały życzyłabym sobie poodbierać, domy sprzedać i kupić majątek ziemski, zatem wrócić do tego, z czego wyszliśmy.

— Ja nie mam nic przeciwko temu, — rzekł Szczęsny — a jeśli kapitałem twoim da się z rąk obcych wyrwać kawał ziemi, o mój Boże, to będzie jeszcze dobrym uczynkiem!

— Więc dziaduniu, pozwala? Godzi się? — zawołała rozpromieniona Elwira. — Ach, jakiż jesteś dobry, jak dobry! — Zaczęła go ściskać i całować. — Zatem co ma być, niech się stanie co najrychléj. Dziaduś mi znajdzie wieś z dworem i staremi drzewami, ja się wyniosę i odetchnę. Żałoba moja stanie mi się lżejszą. Ja miasta tego nie cierpię, ja tu żyć nie mogę.

Szczęsny zerwał się zaraz z gorącą żądzą służenia Elwirze, pobiegł do ajentów, do prawnika, począł się krzątać i zabiegać. Na domy znalazł się kupiec natychmiast, nazajutrz było ich dwóch, rok 1866 już dawał przewidywać przyszły wzrost Berlina i ceny dawano bardzo wysokie. Za prawo założenia magazynu w tem samem miejscu i firmę, zapłacono coś także, kapitały wszystkie niemal były w papierach procentujących i pewnych. Wszystko się składało jak najpomyślniéj do tego stopnia, iż Dziaduniowi nastręczono w Księztwie znaczną majętność z wolnéj ręki do sprzedania, którą nabyć było najłatwiéj, a cena jéj nawet nie była tak przesadnie wygórowaną jak zwykle bywa przez konkurencję niemiecką.

W majętności téj położonéj niedaleko Trzemeszna, właściciele oddawna nie mieszkali, była opuszczoną nieco, ale miała wszystkie warunki majątku, z którego zrobić coś było można. Szczęsny, który dla siebie nic nigdy korzystnie pod względem majątkowym uczynić nie umiał, dla drugich miał rękę szczęśliwą. Opatrzony w listy, zaproponował Elwirze, aby z nim pojechała obejrzeć Studzienną. Téj tak jakoś było pilno i wyrwać się z miasta, i zatrzeć ślad zajęć tych, do których wstręt czuła od niejakiego czasu, że z zapałem i wdzięcznością zgodziła się jechać natychmiast. W Studziennéj, jakeśmy mówili, dziedzice oddawna nie mieszkali, ten absenteizm nieszczęśliwy zmuszał ich do sprzedania dóbr rodziny, z któremi rozstawać się było boleśnie. Majątek potrzebował czynnéj dłoni i oka, mógł być bardzo dobrym przy nich, lub bez nich i kapitału, martwym. Dziadunio też, wedle planu swego, chciał go zaraz na lata długie z pewnemi obowiązkami dla dzierżawcy wypuścić, zostawując tylko dwór i ogród dziedziczce.

Dwór wśród okolicy leśnéj położony, stary, opuszczony nieco, jak wszystko, przed laty piętnastu, był z wielkim smakiem wyrestaurowany i znać dziedzice chcieli z niego miłe gniazdko uczynić. Późniéj nie stało jakoś cierpliwości ducha, coś rozproszyło rodzinę, jakiś jad padł na żywot spokojny i rozegnał po świecie wszystkich. Dziwnie się to jakoś przedstawiało ze starością, z restaurowaniem i opuszczeniem późniejszem. Niektóre części zostały, jak były przed dwóchset laty, inne były prawie nowe, na wielu zaś pospieszne odnawiania przybrały smutną fizjognomją młodéj ruiny. W parku, do którego zajęto część lasu, były prześliczne dęby, lipy i klony, w ogrodzie cieplarnie zaniedbane, na gankach i werandach pozarastało dzikie wino, pnąc się aż na dachy pognite. W wielu pokojach zaciekało. Mimo to było cicho, jakoś miło, wiejsko, i Elwirze uderzyło serce do téj pustki, w któréj marzenia swe pomieścić mogła. O czemś podobnem śniła!

Rzuciła się ze łzami dziadowi na szyję prosząc, aby jéj to kupił koniecznie, zapewniała go, że woli mniéj mieć, że się obejdzie oszczędniéj byle mogła mieszkać na wsi, u siebie wśród tych drzew cudnych, kwiatów i ciszy.

— Ale moja dobrodziejko, odparł Szczęsny, trochę ci się głowa pali, piękne to jest, prawda, miłe, tylko jak tu sama jedna zasiądziesz, to na śmierć się zanudzisz.

Elwira wytłomaczyła Szczęsnemu, że weźmie sobie jakąś panią nie młodą do towarzystwa, że jéj starczy książek, fortepianu, muzyki, modlitwy, że przecie się znajdzie jakieś sąsiedztwo, że będzie mogła wyjechać, gdy zechce za granicę itd. Z innych względów nabycie było łatwe i dogodne, dzierżawca gotowy z kapitałem znacznym, dawny wojskowy, dobrze dziaduniowi znajomy, pan Szczęsny nie wahał się dłużéj dni kilku i targu dobił. Elwira przez ten czas pozostała na wsi w téj części domu, która najmniéj ucierpiała. Miała z sobą służącą, na miejscu znalazła się stara ochmistrzyni. Całe dni spędzała na oglądaniu, na projektach. Dom z wyjątkiem kilku portretów i sprzętów pamiątkowych oddawano ze wszystkiem, co miał w sobie. Elwira znajdowała pewien wdzięk w tych starzyznach, które lepsze pamiętały czasy. Za parkiem znajdowała się kapliczka, którą mało co odnowić należało, aby ślicznie wyglądała. Tak była szczęśliwą Elwira, iż sobie prawie wyrzucała, że nie dość opłakiwała matkę, któréj to wszystko zawdzięczała. Nabycie się dokonało, dwór objąć było można natychmiast, ze Szczęsnym targowała się tylko Elwira, ile będzie miała prawa użyć na restauracje i upiększenia. Stary wstrzymywał, chciała sypać rozrzutnie, chciała stworzyć raj z tego starego ogrodu. Do Berlina wszakże powrócić trzeba było, ażeby dobrać sobie towarzyszkę, rozporządzić przenosinami, pokupować, czego dom wiejski wymagał. Elwirze było tak pilno, iżby jednéj chwili pragnęła polecić na skrzydłach i do cichego kąta powrócić. Wszystko to, choć się sama może nie przyznawała przed sobą, czyniła w téj myśli i przekonaniu, iż Pilawski szukać jéj będzie, że ją tu znajdzie na wsi, dziedziczką majątku, a nie jakąś tam modniarką. Była bowiem przekonaną prawie, tak, jak Surwiński, iż pan Gabriel należał do możnéj szlachty, i że jéj dawne położenie byłoby na przeszkodzie stało ich połączeniu. Jeszcze kilka tygodni tylko, a mogła zapomnieć o przeszłości i za sen bolesny ją uważać. Lecz powróciwszy do Berlina, na pół drogi przeprowadzona przez Szczęsnego, znalazła tu nad spodziewanie wiele do czynienia. Nie można było tak rychło pozbyć się rachunków, zdawania tego, co składało bogato zaopatrzony magazyn, interesów, korespondencji, bez znacznych strat. Musiała więc z rezygnacją pozostać jeszcze tutaj, ażeby się wszystko ułożyć dało.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg).

Czyż potrzeba dodawać, że przy podobnem usposobieniu Dombeya, wszystkie zalety Florci żadnéj nie miały dla niego wartości? Anielska jéj dobroć, przywiązanie i cierpliwość, stawały się nie dostrzeżonemi dla jego oka drobnostkami, niknącemi pośród popiołów które deptał. Dniem i nocą widział jéj twarz nie łagodnie promienną jaką była w istocie, ale wiejącą smutkiem ponurym, i z trwogą zapytywał siebie, czy nie było mu podobna czemkolwiek zasłonić się od téj ścigającéj go postaci.

Takiemi były myśli którym się oddawał Dombey, kreśląc coś machinalnie laską na piasku, podczas gdy zaprzęgano konie do jego powozu. Major który zaś w czasie podróży ilekroć wyjrzał przez okno, widział cały szereg panien Tox biegnących obok pociągu i skutkiem tego przybył na miejsce w bardzo dobrem usposobieniu, zbudził wreszcie towarzysza z jego zadumy, oznajmiając mu że wszystko było w gotowości.

— Wiesz co ci powiem, panie Dombey, rzekł dotykając zlekka jego ręki,—oto nie poddawaj się bardzo twoim myślom. Złe to nawyknienie; unikałem go zawsze i dla tego wyrobiłem z siebie żelaznego Józefa Bagstocka. Jesteś nadto znakomitym człowiekiem, aby ci wolno było dać się zwyciężyć smutkowi. Wierzaj mi, stanowisko twoje wynosi cię po nad podobne słabostki.

Widząc że nawet w życzliwych swych napomnieniach, przyjaciel ów miał zawsze na pierwszym względzie godność jego i powagę, Dombey uczuwał, coraz większe zaufanie do człowieka obdarzonego tak zdrowym poglądem. Usłuchał więc jego rady i podczas gdy powóz toczył się szybko po gościńcu, zwrócił z wysiłkiem swą uwagę ku opowiadaniom majora który z rozkoszą wynadgradzał sobie przymusowe milczenie w czasie podróży koleją.

Rozmowa szła tedy niezgorzéj, przerywana tylko paroksyzmami kaszlu Bagstocka i częstemi wybuchami jego gniewu, którego przedmiotem bywał zawsze nieszczęśliwy murzyn, wyglądający najpocieszniéj w świecie w nazbyt obszernym surducie, w którym zdawał się kurczyć jeszcze bardziéj od trwogi, ilekroć jego pan niespodzianie napadał na niego.

Ku wieczorowi, podróżni znaleźli się wśród łąk zielonych, podchodzących od téj strony aż pod pierwsze domy Leamingetonu. Głos majora skutkiem nadużycia jakiemu uległ w drodze, zdawał się obecnie wychodzić raczéj z kufra umieszczonego za powozem, lub też ze stogu siana stojącego przy drodze niźli z ludzkiéj piersi. Pomimo tego Bagstock nie dał mu ani chwili wytchnienia, tak w powozie jak i przy obiedzie który zaraz po przybyciu podano naszym podróżnym w hotelu, tak iż gdy wreszcie udał się wieczorem na spoczynek, chrypka jego doszła była do tego stopnia, że murzyn tylko po ruchu ust mógł rozkazów swego pana się domyślać.

Z tem wszystkiem, żelazny major wstał nazajutrz zdrów i silny jak olbrzym; z olbrzymim też apetytem zasiadł do śniadania, przy którem ułożył wspólnie z Dombeym plan zajęć ich i rozrywek na czas pobytu w Leamingstonie.

Major wziął w tym razie na siebie wszystko, co było w związku z kwestją żywności. Po śniadaniu obadwaj mieli codzień odbywać razem przechadzkę; w tym pierwszym dniu wszelako Dombey oświadczył że woli sam pozostać aż do obiadu, Bagstock tedy wziąwszy z sobą murzyna niosącego składane krzesełko, płaszcz i parasol, poszedł obchodzić place i główniejsze ulice miasta, przyglądając się z szykiem człowieka wielkiego świata, pięknym paniom i robiąc niby przypadkiem tu i owdzie znajomości, przed któremi nie omieszkiwał wynosić pod niebiosa rzadkie zalety i bogactwa swego przyjaciela. Z pewnością, najszczersza życzliwość nie umiałaby znaleść w tym razie wymowy z jaką major czynił własną reklamę, uwydatniając w ten sposób świetne stanowisko swego towarzysza.

Niemniéj godną była podziwu mnogość przedmiotów któremi potrafił zasilić rozmowę przy obiedzie. Słuchając go, Dombey coraz więcéj oceniał towarzyskie jego zdolności. Nazajutrz przy śniadaniu okazało się że już przeczytał był wszystkie dzienniki i gotów był do rozmowy w kwestjach społecznych i politycznych. Miał zaś w tym względzie zdania do których — jak zapewniał — odwoływały się już nieraz osoby tak wysoko położone, że nazwiska ich zaledwie godziło się dawać do zrozumienia. Dombey, który przez czas tak długi żył wyłącznie z własnemi myślami zamknięty, jakby w zamkniętym kole w zakresie handlowych obrotów firmy Dombey i Syn, począł uznawać wpływ jaki towarzystwo podobnego człowieka mogło z czasem na nim wywrzeć. Zamiast tedy odłożyć do jutra wspólną z nim przechadzkę, jak to z rana było ułożonem, wybrał się na nią zaraz po obiedzie.

VII.

Nowe osoby występują na widownię.

Major mocno rozczerwieniony dobrem winem, którego sobie nie żałował u stołu, przechadzał się po mieście bardzo okazale, trzymając pod rękę Dombeya, i darząc od czasu do czasu lekkim ukłonem nowo poznane osoby, ale niezwracając wcale na nie uwagi swego towarzysza. Idąc, zabawiał tego ostatniego pokazywaniem mu osobliwości miasta, a także opowiadaniem niektórych miejscowych skandalicznych anegdotek, w które już miał czas się zaopatrzyć.

Dwaj ci panowie przechadzali się w ten sposób, wzajemnie z siebie zadowoleni, kiedy w tem ujrzeli zbliżające się ku nim krzesło na kółkach, popychane z tyłu przez służącego. W krześle tem siedziała, a raczéj leżała wygodnie rozparta pani jakaś, nie młoda już wprawdzie, ale bardzo jeszcze świeża a świeżo także i młodociano ubrana. Tuż obok szła bawiąc się niedbale parasolką, młodsza daleko i bardzo piękna kobieta, któréj twarz uderzała wszelako dziwnie wybitnym wyrazem uporu i wyniosłości.

— Któż to znowu włazi nam w drogę? rzekł major do Dombeya, ustępując się nieco.

— O Boże! cóż za dziwne spotkanie—odezwała się w téj chwili pani siedząca w krześle. Edyto moja — wszak to major Bagstock? dodała, przeciągając leniwie każdy swój wyraz.

Zaledwie major usłyszał głos ów omdlewający, porzucił ramię Dombeya i pobiegł ucałować ręce kobiety, która przemówiła w ten sposób. Potem kłaniając się z wytworną zalotnością jéj towarzyszce rzekł:

— Józef Bagstock, łaskawe panie, może się teraz nazwać szczęśliwym na resztę dni swoich, odkąd los okazał mu się tyle przychylnym.

— Ach ty kłamco niepoprawny! odrzekła starsza kobieta tymże samym głosem omdlałym, skądże się tu wziąłeś? Wiesz dobrze, że cię znieść nie mogę.

— W takim razie, odpowiedział major, pozwoli pani aby stary Józef przedstawił jéj przyjaciela swego, który może uczyni znośną jego obecność. Pan Dombey — pani Skewton.

Pani siedząca w krześle skłoniła się uprzejmie.

— Pan Dombey — pani Granger — dodał major.

Młoda kobieta kreśląca na piasku koła parasolką, zaledwie zdała się spostrzedz głęboki ukłon bankiera.

— Szczęśliwy jestem nad wszelki wyraz z tego spotkania, mówił daléj Bagstock. Trzeba ci wiedzieć, panie Dombey, że pani Skewton panuje samowładnie w sercu starego Józefa.

Dombey dał grzecznie do zrozumienia, że nie widział w tem nic dziwnego.

— Milcz — zdradliwy pochlebco! rzekła do majora z uśmiechem starsza pani. Powiedz oto lepiéj od jak dawna tu jesteś?

— Od wczoraj dopiero — odpowiedział Bagstock.

— Możnaż tedy być choć dzień jeden w tym ogrodzie.... Jakże chciałam powiedzieć, Edyto?

— Zapewne w ogrodzie Edenu — dokończyła pogardliwie młoda kobieta.

— Otóż to właśnie, moje dziecię — zapominam zawsze tych poetycznych wyrażeń... Możnaż tedy być choć dzień jeden w tym ogrodzie Edenu, nie czując się zachwyconym czarami tutejszéj przyrody? — dodała poprawiając śpilkę brylantową.

Brylanty pani Skewton i wysokie jéj stosunki, stanowiły główną podstawę jéj bytu społecznego.

— Człowiekowi takiemu jakim jest mój przyjaciel, odparł major, wolno tylko w skrytości duszy podziwiać piękności przyrody. Kto jak on stoi u steru handlowego ruchu największego miasta w świecie...

— Ach, któż nie wie o świetnem stanowisku jakie zajmuje pan Dombey — przerwała pani Skewton.

Dombey skłonił się uprzejmie; w téj chwili młoda kobieta spojrzała na niego i oczy ich się spotkały. Bankier rzekł do niéj:

— Czy pani stale tu przebywa?

— Nie; podróżujemy prawie ciągle, rzadko gdzie dłużéj zamieszkując: matka moja lubi zmianę miejsca.

— Edyta ma w tym względzie całkiem inne upodobania, rzekła pani Skewton rzucając córce znaczące spojrzenie.

— Nie znajduję nic prawie nowego w miejscach które zwiedzamy, odpowiedziała Edyta z wyrazem dumnéj obojętności.

— Co do mnie, szukam jednéj tylko rzeczy, mówiła daléj pani Skewton do Dombeya, ale nie wiem czy ją kiedy napotkam. Życie ciszy i rozmyślania byłoby dla mnie....

— Chcesz zapewne matko powiedzieć: rajem, dodała z szyderskim uśmiechem piękna Edyta.

— Drogie moje dziecię, ty zawsze lepiéj natrafisz odemnie na właściwy wyraz, rzekła z uczuciem pani Skewton, bo tyś lepszą połową duszy mojéj. Ach panie Dombey, dodała, jestem pewną że byłam stworzona na mieszkanie Arkadyjskich krain! Nie dla mnie miejsce na tym świecie. Gdybyż przynajmniéj było w nim choć trochę więcéj szczerości i dobréj wiary, więcéj wylania, a mniéj form konwencjonalnych! Wszystko tu tak czcze, tak stuczne, niestety!

Ubolewaniom tym pani Skewton nie brakło, co prawda, pewnéj podstawy, usprawiedliwiała je własna jéj osoba, tak we względzie moralnego, jak i fizycznego ustroju. Trudno było znaleść coś mniéj

naturalnego jak ona. Wszystko w niéj, aż do sposobu w jaki leżała niby niedbale w swem krześle było najstaranniéj wystudjowane. Kiedyś, przed laty czterdziestu, kiedy była młodą, piękną i bogatą, słynny owego czasu artysta malując jéj portret, przedstawił ją leżącą z wdzięcznem zaniedbaniem we wspaniałym powozie. Dzieło to sztuki pozyskało naonczas wielki rozgłos, że zaś fantazja artysty podpisała je imieniem Kleopatry, upatrując w postawie modelu pewne podobieństwo, z postacią pięknéj królowéj Egiptu pochylonéj nad brzegiem swéj galery, przez dość długo, nie nazywano inaczéj pani Skewton w salonach wielkiego świata. Odtąd upłynęło lat wiele, a z niemi znikła piękność nowożytnéj Kleopatry wraz z jéj dostatkami; ona jednak, pragnąc ocalić co się dało z owego tak pochlebnego dla niéj podobieństwa, nie mając już powozów, kazała się obecnie wozić w krześle, chociaż wcale nie cierpiała na nogi, i w krześle tem układała się, w niedbałéj postawie w jakiéj ją niegdyś słynny malarz przedstawił.

— Jednem słowem, mówiła daléj pani Skewton do Dombeya, to czego wszędzie szukam, to tylko natury....

— Natura każe nam już wracać do domu na herbatę moja matko, jeśli nie masz nic przeciw temu, przerwała młoda kobieta przygryzając usta.

Służący już zaczynał popychać krzesełko, ale pani Skewton rzekła:

— Poczekaj no jeszcze chwilkę, Withersie. Gdzie mieszkasz niegodny człecze? dodała zwracając się do majora.

Odpowiedział że stanęli z Dombeyem w hotelu Królewskim.

— Jesteśmy w domu co wieczór, możesz przychodzić jeśli ci się podoba, nieznośny pochlebco, rzekła pani Skewton.

Potem dodała, zwracając mowę do Dombeya:

— Miło mi będzie nad wszelki wyraz widywać pana u siebie. A teraz w drogę, Withersie, rzekła do służącego.

Major ucałował znowu końce jéj palców, Dombey zaś ukłonem pożegnał obie panie. Matka obdarzyła obudwu bardzo uprzejmym uśmiechem, córka zaś najlżejszem skinieniem głowy na jakie tylko grzeczność pozwalała.

— Wiesz pan co, rzekł major gdy sam pozostał z przyjacielem, gdyby Józef Bagstock nie był już tym starym Józefiskiem, co go widzisz przed sobą, żadna inna kobieta nie zostałaby majorową Bagstock. Cóż to za pyszna istota!

— Chcesz pan mówić o córce? spytał Dombey.

— Chyba mię pan masz za wierutnego osła, jeśli myślisz że się tak matką zachwycam.

— Zdawało mi się jednak że jesteście z sobą w dość dobrych stosunkach, zauważył Dombey.

— Och! resztki dawnych sentymentów! rzekł od niechcenia major. Trzebaż przecie w takich razach zachowywać pewne względy.

— Jest to o ile mi się zdaje, kobieta bardzo dystyngowana, rzekł Dombey.

— Dystyngowana? Ale panie łaskawy, pani Skewton jest siostrą świeżo zmarłego lorda Feniksa, a ciotką dzisiejszego lorda tego nazwiska. Wprawdzie, nie jest majętną i żyje ze szczupłych dochodów, ale co do urodzenia....

— Zdaje mi się, żeś pan nazwał jéj córkę panią Granger? spytał Dombey.

— Tak jest. Panna Skewton mając lat ośmnaście, poszła za pułkownika Granger, dowódzcę naszego pułku i została wdową po dwuletniem z nim pożyciu.

— Czy dawno temu? rzekł Dombey.

— Edyta nie ma jeszcze lat trzydziestu, odpowiedział major.

— Czy miała kiedy dzieci?

— Miała syna, który w szóstym roku życia utonął, wypadłszy z łódki w któréj go niańka przez niedbalstwo zostawiła samego. Dotąd, Edyta pozostała panią Granger, ale z pewnością jużby nią nie była, gdyby Józef Bagstock był choć trochę młodszy i bogatszy.

— Potrzeba by jednak w tym razie i z jéj strony nieco dobréj woli, rzekł chłodno Dombey.

— Ho! ho! łaskawy panie, niech się kto inny jak Bagstock zastanawia nad podobnemi przeszkodami. Co prawda, muszę przyznać, że Edyta mogła była pójść za mąż niewiedzieć już ile razy. Ale harda to dusza, co się nazywa, — dumna kobieta jak nie ma drugiéj na świecie.

Dombey nie zdawał się uważać tego za wadę.

— Koniec końcem, dodał major, rzecz to rzadka w każdym razie. Pan jesteś także dumny, panie Dombey, i dla tego właśnie poważam cię tyle.

Na téj pochwale zakończyła się rozmowa o pani Granger; zaraz potem weszła na inne tory i major zaczął opowiadać swe dawne u kobiet powodzenia.

W parę dni potem, dwaj przyjaciele napotkali znowu na przechadzce panią Skewton z córką, a gdy się to w dniach następnych kilkakrotnie ponowiło, sama grzeczność nie dozwalała już majorowi odwlekać dłużéj odwiedzin do dawnych znajomych. Jakkolwiek za przybyciem do Leamingstonu Dombey postanowił nie szukać tam żadnych stosunków, wszelako widząc pewnego wieczoru swego przyjaciela wybierającego się do pani Skewton, oświadczył że zamierza mu towarzyszyć.

Odwiedziny te odbyły się prawie tak samo jak pierwsze na przechadzce spotkanie, z tą tylko różnicą, że wychwalając piękności przyrody, pani Skewton grała w karty z majorem. Piękna Edyta, zawsze wspaniale dumna i pogardliwa, raczyła wszelako na prośbę matki zaśpiewać jakąś włoską arję. Dombey słuchał jéj śpiewu z uwagą, a gdy skończyła, wyraził swój zachwyt z zapałam hamowanym jednak poczuciem własnéj godności.

Dwaj panowie nie poprzestali na tych odwiedzinach. Stopniowo, stali się coraz częstszemi gośćmi w domu pani Skewton, a z każdem widzeniem uczucie podziwu jakie Edyta obudzała w Dombeyu, wzmagało się, podniecane z cudowną zręczności przez majora. Po pewnym czasie, bankier przyszedł do przekonania, że kobieta tak wyjątkowo samoistna i tyle wyniosła, umiałaby z pewnością dodać nowego blasku stonowisku człowieka coby ją poślubił.

Rzeczy były na téj stopie, kiedy pewnego poranku, major wchodząc do pokoju Dombeya, zastał tam obcego jakiegoś jegomościa. Po chwili przypomniał sobie, że postać tę napotykał już nieraz w domu swego przyjaciela.

— Do usług pańskich, rzekł wchodząc do nieznajomego. Rad jestem że dziś pana poznaję, bowiem przyjaciel pana Dombeya jest koniecznie moim także przyjacielem.

— Nie umiem ci powiedzieć Carkerze, rzekł bankier przedstawiając mu Bagstocka, ile winienem wdzięczności majorowi za jego towarzystwo. Oprócz tego, wyświadczył mi już nie jedną przysługę.

Carker starszy, przybyły przed chwilą do Leamingstonu i trzymający jeszcze w ręku kapelusz, uprzejmie wyszczerzył zęby, dziękując serdecznie majorowi za wszystko co uczynił dla Dombeya.

— Dobre to wszystko, rzekł Bagstock, ale skoro mój przyjaciel mówił już panu o mnie, muszę i ja tu coś dodać. Masz pan w starym Józefie żołnierza nieznającego co to pochlebstwo; co w sercu u niego to i na ustach, możesz pan tedy mu uwierzyć kiedy ci powie, że z duszy radby przydać się tobie na cośkolwiek.

Carker skłonił się uprzejmie, podziwiając prostotę i szczerość tego człowieka.

— A teraz, mówił daléj Bagstock, zostawiam panów i żegnam. Macie zapewne do pomówienia z sobą.

— Ależ bynajmniéj, zostań majorze, odezwał się Dombey.

— No, no; wiem ja dobrze że się nie mylę. Taki człowiek jak ty, panie Dombey, najpotężniejszy filar naszego handlu, nie powinien być w swych zajęciach krępowany. Każda chwila twoja jest drogą. Do widzenia zatem, przy obiedzie. Jadamy o siódméj, panie Carker.

To rzekłszy, major zabrał się do odejścia; przy drzwiach wszelako zatrzymał się i rzekł:

— Panie Dombey, jedno jeszcze słowo — czy nie każesz co powiedzieć tym paniom? Idę do nich jak wiesz...

Dombey nieco zmięszany tem zapytaniem, spojrzał ukradkiem na Carkera, potem poprosił Bagstocka aby oświadczył jego ukłony i spełnił już dane zlecenie.

— Towarzystwo majora musi tu być panu nie małą obroną od nudów, rzekł Carker po odejściu Majora.

— Przyznaję to, odpowiedział Dombey.

— Czy ma on tu jakie stosunki? spytał Carker. Uważam z tego co mówił, że znacie się panowie z tutejszem towarzystwem; wielce mię to cieszy. Było to zawsze mojem zdaniem, że stanowisko pana wymaga abyś bywał w świecie, i dziwno mi było widzieć że go unikasz.

— Miałem do tego powody, rzekł Dombey. W mojem osamotnieniu, świat nie mógł mieć dla mnie powabu. Ale będę miał przyjemność przedstawić cię tu moim... to jest raczéj majora dobrym znajomym. Mamy z nich naprawdę bardzo miłe towarzystwo.

— Wszak są panie pomiędzy niemi? spytał Carker.

— Są — a nawet same to tylko panie. Jest ich dwie.

— Tylko dwie?

— Tylko. Bywam u nich czasem; nie mam tu więcéj znajomych.

— Są to siostry?

— Nie — matka i córka.

— Dziękuję panu bardzo. Rad będę poznać się z niemi.

— Podczas gdy Dombey udzielał tych objaśnień Carkerowi, już po trochu odgadującemu jego zamiary, innego całkiem rodzaju scena miała miejsce w mieszkaniu pani Skewton.

Zaledwie zacna owa pani ujrzała wchodzącego majora, zaleciła służącemu, aby nikogo więcéj nie wpuszczał; potem spytała omdlewającym głosem Bagstocka, jak się miewa jego przyjaciel.

— Dombey łaskawa pani, ma się o tyle dobrze o ile stan jego na to pozwala, odpowiedział major. Ale stan to opłakany! Człowiek ów otrzymał ciężką ranę — został na wskroś przeszyty, na honor to zaręczam.

Kleopatra rzuciła swemu dawnemu wielbicielowi spojrzenie, całkiem, innego znaczenia jak wyrazy które zarazem wymawiała.

— Majorze, rzekła, jakkolwiek znam świat bardzo mało i nie chcę znać go lepiéj, sądzę iż zrozumiałam co chcesz powiedzieć. Masz na myśli Edytę, drogie dziecię moje?

— Szczerość, odpowiedział major, była zawsze

głównym przymiotem Bagstocka. Powiem tedy: zgadłaś pani w zupełności.

— A więc słowa twoje majorze, odnoszą się do jednego z najświętszych a nawet do najświętszego uczucia, na jakie się może jeszcze zdobyć skarłowaciała ludzka istota?

Bagstock dał głową znak potwierdzający.

— Kilka temu tygodni, mówiła daléj Kleopatra, pan Dombey był tyle grzecznym, że nas odwiedził razem z tobą majorze. Zbyt łatwo może idę za serca popędem — jest to błąd u mnie, ale się nie chcę z niego poprawić — odwiedziny pana Dombeya nie małą mi były uciechą, a także i drogiéj mojéj Edycie. Był pana przyjacielem, już to samo dobrze nas dla niego usposabiało. Stopniowo począł odwiedzać nas coraz częściéj i znajdując, o ile się zdaje, upodobanie w naszym trybie życia, tak mało światowym i tak pełnym prostoty, stał się wreszcie codziennym u nas gościem. Jakże daleką byłam wtedy od przewidzenia jaką brałam na siebie odpowiedzialność, sprzyjając temu zbliżeniu, i któż opowie co wycierpiałam dowiadując się po trochu całéj prawdy! Słodka moja Edyta wszystkiem jest dziś dla mnie, ileż boleć muszę widząc jak z dniem każdym zmienia się to dziecko ukochane. Mówią, że Edyta do mnie jest podobna, ale jeśli wzięła w tym spadku pewne korzyści, odziedziczyła z nimi także słabości mojego serca. Duszę ma ona silną, ale serce wrażliwe, a gdy raz uczucie w niem się zbudzi, rozrasta się niebawem z siłą niesłychaną. Podobnaż temu uwierzyć, że ta córka dla któréj raczéj byłam siostrą niż matką, całkiem inną stała się dla mnie, że jest nazwisko, którego żadna z nas nie śmie wymówić? Ach to mię zabije — czuję to — ja tego nie przeżyję! Alež majorze, czemuż się do mnie nie odzywasz? odkryłam ci głębie duszy mojéj, na Boga, poradź — ratuj!

Bagstock uśmiechnął się i wziąwszy rękę pani Skewton, pocałował ją zalotnie.

— Powiedz że mi majorze, mówiła znowu, — czy przywiązanie twego przyjaciela do Edyty jest istotnie takiem jakiem je sobie wyobrażam? Poradź mi szczerze co tu robić wypada?

— Czy prędko sprawimy im wesele? spytał major półgłosem.

Pani Skewton nic nie odpowiedziała, ale jéj uśmiech starczył w tym razie za słowa.

W téj właśnie chwili, Edyta weszła do pokoju. Zaledwie raczyła spostrzedz obecność Bagstocka. Rzuciwszy matce przenikliwe spojrzenie, odsunęła firankę i poczęła oknem wyglądać.

— Gdzieś była, droga Edyto? spytała jéj pani Skewton. Wyczekiwałam ciebie niecierpliwie.

— Sądziłam matko, że jesteś zajęta i nie chciałam ci przeszkadzać, odpowiedziała Edyta nie odchodząc od okna, przez które ciągle patrzała.

— Wiesz dobrze kochanie, odezwała się znowu pani Skewton, że major jest dla mnie najnudniejszem w świecie stworzeniem...

Edyta zwróciła się ku matce z pogardliwym uśmiechem.

— Na cóż się silić na takie wyrazy, rzekła, kiedyśmy tu wszyscy swoi?

— Jakaś ty dziwaczna, droga moja Edyto! Otóż chciałam ci powiedzieć, że major przyniósł nam najgrzeczniejszy w świecie bilecik od pana Dombeya z zaproszeniem na śniadanie do niego na jutro, a potem na przejażdżkę do Warwisku i do Wenilworthu. Czy masz ochotę na tę wycieczkę?

— Czy masz? cóż tu o to i pytać? odpowiedziała zarumieniona Edyta, patrząc matce w oczy.

— Tak mi się też zdawało że nic nie będziesz miała przeciw temu. Oto jest list pana Dombeya.

— Dziękuję. Nie jestem ciekawa go czytać.

— W takim razie, sama odpiszę. Myślałam że mię zechcesz może w tym razie wyręczyć.

Edyta nic nie odpowiedziała; pani Skewton zabrała się do pisania.

— Czy mam przesłać ukłony od ciebie? spytała kończąc list swój.

— Jak się matce podoba, odpowiedziała z dumną obojętnością Edyta, nie odwracając głowy od okna.

Pani Skewton zakończyła list według własnego uznania i oddała go majorowi, który wkrótce ją pożegnał.

Wróciwszy do hotelu, zastał w domu tylko Carkera. Dombey wyszedł był na miasto. Czekając na niego, dwaj ci panowie poczęli rozmawiać. Carker uczynił uwagę, że znalazł swego pryncypała jakoś dziwnie roztargnionego. Major nie zaprzeczał temu, a nawet dał do zrozumienia, że znał źródło tego usposobienia; w dalszym ciągu rozmowy nie trudno przyszło Carkerowi, przy pomocy wielomówności Bagstocka, dowiedzieć się od niego o wszystkiem co się tyczyło znajomości Dombeya z Edytą.

Podczas obiadu, major był nadzwyczajnie wesół i czynił Dombeyowi różne przymówki, które jakkolwiek nieco mięszały bankiera, łechtały zarazem przyjemnie jego miłość własną. Carker brał udział w tych żartach i w ogóle czas zeszedł wszystkim bardzo dobrze.

Wieczorem jednak Dombey był jakoś milczący i posępny, ale za to major mówił bez przestanku! Wytrząsał jakby z rękawa różne anegdotki, któremi niesłychanie ubawił Carkera, wreszcie siadł z nim do kart, potem do szachownicy, a wszędzie Carker odniósł zwycięztwo.

Gdy późnym już wieczorem, dwaj zapaśnicy rozeszli się na spoczynek, mieli o sobie nawzajem najkorzystniejsze zdanie. Major widział w swym nowym znajomym człowieka niepospolitych zdolności, ten zaś cieszył się przeświadczeniem, iż napotkał narzędzie mogące mu posłużyć w spełnieniu jego zamiarów.

VIII.

Romantyczna wycieczka.

Nazajutrz, Carker wstawszy bardzo rano, wybrał się na przechadzkę. Ktoby go widział idącego samotną dróżyną przecinającą łąki podchodzące aż pod przedmieścin Leamingstonu, nie poznałby w nim z pewnością układnego i pokornego sługę, człowieczka, który zeszłego wieczoru słuchał z uśmiechem pełnem zadowolenia, jak wygłaszano pochwały jego pana.

Był on raczéj obecnie uosobieniem ducha złego, noszącego w bystrem i zwycięzkiem wejrzeniu wyraz szyderskiego zadowolenia. Długo dosyć błąkał się wśród pól zasianych i po cienistych ulicach, pogrążony w myślach, których nacisk ściągał brwi jego i czoło mu zachmurzał, aż wreszcie, spojrzawszy na zegarek zobaczył, iż pora była ku domowi się zwracać. Obrawszy tedy najbliższą w tym kierunku drogę, Carker zdążał w stronę miasta, przybierając stopniowo im bardziéj się do niego przybliżał, zwykły swój wyraz twarzy i uśmiech bez znaczenia. Idąc, szepnął raz do siebie. Teraz, rozpatrzmyż się dobrze w przyszłéj pani Dombey.

Wszedł do miasta piękną ulicą gęsto wysadzoną drzewami, obrosłą krzewami różnego rodzaju, tu i owdzie były ustawione ławki w miejscach bardziéj zacienionych. Ulica owa, zwykle dosyć mało uczęszczana, całkiem teraz była samotną. Carker uważając, że miał jeszcze trochę czasu do śniadania i zachęcony pięknością tego miejsca do pozostania w niem nieco dłużej, począł się przechadzać pod drzewami, całkiem oddany swym rozmyślaniom.

Wkrótce jednak spostrzegł, że był w błędzie sądząc, iż się w zupełnéj znajdował samotności. Obchodząc bowiem stary dąb, którego wspaniała piękność go uderzyła, ujrzał siedzącą pod nim na ławce osobę.

Była to młoda i bardzo piękna kobieta wytwornie ubrana, ale jak się zdawało, mocno w téj chwili rozżalona czy też rozgniewana. Z czarnych jéj oczu ku ziemi spuszczonych, gęste łzy spływały, a usta gryzły z nerwowem łkaniem chustkę, którą do nich przyciskała. Gdy na nią patrzał Carker ukryty po za drzewami, wstała z wyrazem znużenia i zwróciła ku niemu twarz, na któréj malowała się już tylko duma i lekceważenie.

W téjże saméj chwili, stara jakaś i szpetna kobieta, wyglądająca z ubrania na cygankę lub téż na uliczną żebraczkę, nadeszła była i przypatrywała się także owéj pięknéj pani, która wstawszy, ujrzała ją niespodzianie przed sobą.

— Niech pani pozwoli, to jéj powróżę, rzekła stara zachodząc jéj drogę.

— Potrafię sama to uczynić, odpowiedziała młoda kobieta odprawiając żebraczkę skinieniem ręki.

— Tak ci się to zdaje, moja pani, ale się mylisz potrosze. Myliłaś się podobnież kiedyś tu sobie przed chwilą wróżyła. Daj no mi szyllinga, moja gołąbko, a powiem ci prawdziwą twoją przyszłość. W rysach twoich stoi bogactwo.

— Wiem i bez ciebie o tem — odpowiedziała z chmurnym uśmiechem młoda kobieta, przechodząc z wyniosłą postawą mimo żebraczki.

— Jakto? więc nic od pani nie dostanę? zawołała ta ostatnia z gniewem. Nic mi dać za to nie chcesz, że ci powiem twoją przyszłość? Kiedy tak, to co za to dostanę, żebym jéj nie powiedziała? Daj mi co, bo jak nie to ją na głos będę wykrzykiwała za tobą.

Młoda kobieta miała właśnie przechodzić tuż obok Carkera, gdy tenże wystąpił z po za drzew i skłoniwszy się jéj, rozkazał żebraczce żeby odeszła. Piękna pani podziękowała mu lekkiem skinieniem głowy i poszła daléj.

— Musi dać mi cośkolwiek, inaczéj będę krzyczała na głos co ją czeka — wołała stara, usiłując odepchnąć rękę Carkera, tamującą jéj przejście. Albo też, dodała ciszéj, zwracając się nagle ku niemu, wyśpiewam wszystkim twoją przeszłość, mój ptaszku, jeśli mi nic dać nie zechcesz.

— Alboż jej może nie znam? rzekła stara wyciągając ku niemu wychudłą rękę i przyglądając mu się uważnie. Ho! ho! wiem ja dobrze o wszystkich twoich sprawkach, mój panie.

— Cóż tedy wiesz? rzekł rzucając jéj szyllinga. Oto, wieszże kim jest owa pani?

Zamiast odpowiedzieć podjęła pieniądz z ziemi i odszedłszy o parę kroków, usiadła pod drzewem; potem dobywszy z kieszeni zakopconą fajeczkę, zaczęła z niéj kurzyć, przypatrując się bystrym wzrokiem Carkerowi.

Parsknął uśmiechem i zawrócił się chcąc odejść.

— Wszystko dobrze, rzekła stara niby mówiąc do siebie. Jedno dziecko umarło ale drugie żyje! Jedna żona umarła, druga nastaje na jéj miejsce. Idź do niéj, przemądry lisie.

Mimowolnie, Carker stanął w miejscu i zwrócił się ku cygance. Ona kurząc ciągle z fajeczki, mruczała coś jeszcze pod nosem dziwnie się wykrzywiając, jak gdyby rozmawiała z niewidzialną jakąś istotą. Po pewnym czasie, wyciągnęła rękę w stronę Carkera i roześmiała się na głos.

— Coś ty mówiła, stara czarownico? zapytał, ulegając mimowolnemu zaniepokojeniu.

Mruczała ciągle, przygryzając fajeczkę, i trzymając palec ku niemu wyciągnięty, ale nic nie odpowiedziała. Carker zaklął pod nosem i odszedł. Ale kiedy na zakręcie ulicy obejrzał się raz jeszcze, zobaczył żebraczkę w téj saméj postawie wyciągającą rękę ku niemu i zdało mu się, że słyszał jak wołała ochrypłym głosem: Idź do niéj.

Wróciwszy do hotelu, zastał już przygotowane najwytworniejsze śniadanie, spodziewano się lada chwila pań przybycia. W krótce murzyn postawiony na czatach w oknie, oświadczył że przyjechały i zaraz potem ukazała się we drzwiach pani Skewton, z twarzą bardzo rumianą, jeśli już nie powiemy świeżą.

— Chciéj nam pan darować, panie Dombey, rzekła wchodząc, jeśliśmy cokolwiek się spóźniły. Czekałam na Edytę, która odbyła z rana długą przechadzkę dla poszukania pięknego krajobrazu do naszkicowania. Jak się miewasz, kochany majorze?

— Pozwoli mi pani, rzekł Dombey, przedstawić jéj pana Carkera, mojego przyjaciela. (Te ostatnie słowa wyrzekł z naciskiem dowodzącym, iż znał łaskę jaką niemi wyświadczał.) Zdaje mi się że już pani o nim wspominałem?

— Bardzo mi jest miłą sposobność poznania się z panem, rzekła uprzejmie pani Skewton.

Carker okazał się niemniéj uszczęśliwionym.

— Gdzie się podziała Edyta? zawołała po chwili czuła matka, rozglądając się niespokojnie w około siebie. Pewnie została na dole dla wydania jakich rozkazów służącemu. Czy nie raczysz pójść po nią, panie Dombey?

Zanim słów tych dokończyła już bankier wyszedł był z pokoju. Po chwili, wrócił podając ramię młodéj kobiecie, w któréj Carker od razu poznał piękną panią napotkaną podczas rannéj jego przechadzki.

— Niech mi wolno będzie przedstawić pani rozpoczął Dombey...

Ale w tem uciął, widząc ze zdziwieniem że osoby które chciał z sobą zapoznać, nie były już sobie obcemi.

(d. c. n.)

POGADANKI NAUKOWE.

DZIEJE WĘGLA

OD

FORMACYI WĘGLOWÉJ AZ DO NASZYCH CZASÓW.

(Dalszy ciąg).

IV.

Teraz z kolei zobaczymy, jak dzięki cudom przemysłu, węgel tysiącznym ulega przemianom i po całym rozchodzi się świecie.

Badając różne ciała, zadziwi nas znaczna liczba substancyi które chemicy nazywają po prostu *węglem*. Wszystkie te materje, tak różne wejrzeniem i cechującemi je własnościami, są w oczach chemika jedną i tąż samą materją; wszystkie poddane pod rozbiór i metodyczne dochodzenie naukowe, wykażą że są tylko *węglem*.

Zastanówmy się nieco nad temi odmianami węgla, nad ich powstawaniem, produkcją i użytecznością. Oto odmiany węgla, oddzielną noszących nazwę: *Węgiel kamienny*, *koks*, *węgiel zwierzęcy*, *antracyt*, *grafit*, *lignit*, *gagat*, *torf*, *sadza*, *węgiel drzewny* i nakoniec *diament*.

Zaczniemy od *węgla kamiennego* i przypatrzmy mu się w stanie w jakim go dobywają z kopalni. Węgiel stanowi najwyborniejszy materjał opałowy. Jest to massa mniej więcej krucha, połyskliwa, barwy od brunatnej do zupełnie czarnej; zapalony, węgiel kamienny wydaje płomień nie zawsze jednakowo jasny, powstający ze spalenia materyi lotnych jakie w sobie zawiera, wydaje woń nieprzyjemną bitumiczno—siarkową. Takie są główne cechy tej substancji, jednak badając ściślej można rozróżnić trzy odmiany, mianowicie:

Jeśli węgiel grubo sproszkowany pod wpływem ciepła wzdyma się i spieka, wtedy nazywa się *tłustym lub stapiającym się*, węgle takowe przydatne są do ognisk kowalskich i do otrzymywania gazu oświetlającego.

Jedną z najlepszych jego odmian stanowi węgiel znajdujący się w Anglji, nazywany tam *caudle—coaki*; pali się on bardzo jasnym płomieniem i jest najlepszym do otrzymywania gazu oświetlającego. Przewyższa nieskończenie na ten cel nasze węgle które są suche i z trudnością się koksują.

Jeśli proch węgla zlepia się tylko cokolwiek, wtedy zalicza się do węgli *średnio-tłustych* czyli *zlepiających się*. Taki węgiel świeżo złamany pieknie się błyszczy; w paleniu przedstawia płomień biały, nieco sadzowaty.

Nakoniec trzeci rodzaj stanowią węgle których proch pozostaje bez zmiany, jak to przedstawiają węgle *suche* zwane *piaszczystemi*. Te ostatnie są znacznie gorsze od dwóch wyżéj podanych odmian.

Pokłady węgla nie zawsze w jednéj znajdują się głębokości, niekiedy dość jest odkryć warstwę zewnętrzną nie zbyt grubą, aby na wolnem powietrzu, przy świetle dziennem węgle wybierać, co i u nas miewa miejsce w okolicach Dąbrowy, w powiecie Olkuskim. W innych razach warstwa zagłębia się w ziemię z różnym upadem ku jéj wnętrzu. Grubość pokładów dochodzi niekiedy do 50 stóp.

Na stałym lądzie Europy, najbogatsze kopalnie węgla posiada Belgja. Kraj nasz hojnie pod tym względem uposażyła przyroda, posiadamy obfite i do najgłębszych pokładów zaliczające się kopalnie a mianowicie: na granicy górnego Szląska w powiecie Olkuskim w Dąbrowie i ku Bendzinowi, oraz w Strzyżowicach, w Niemcach, w Niwce, w obwodzie zaś Krakowskim, w powiecie Chrzanowskim, w Jaworzniu, w Niedzieliskach, w Ciężkowicach, Luszowicach, Sierszy, Dąbrówce, Czarnem bagnie, i w powiecie Krzeszowickim w Tęczynku i w Filipowicach.

Przez dystylacją z węgli kamiennych otrzymujemy gaz oświetlający. Węgle składają się głównie z 70 do 80 procentu węgla, z 5 do 8 proc. tlenu i 5 procentu wodoru: oprócz tego zawierają małą ilość azotu i dwusiarku żelaza, które także biorą udział w rozkładzie tworząc ammoniak i siarkowodór. Fabrykacja gazu dzieli się na trzy części, mianowicie: 1° na otrzymanie gazu; 2° na oczyszczenie, 3° nakoniec na zebranie go i rozprowadzenie do miejsc w których ma być użyty.

Otrzymywanie gazu odbywa się w długich retortach żelaznych lub co lepiéj ogniotrwałych, glinianych z głowami z lanego żelaza. Retort takich jest zwykle pięć w każdym piecu, które, po napełnieniu węglem kamiennym ogrzewają do umiarkowanéj czerwoności. Wydzielający się z nich gaz zanieczyszczony jest parą smoły, siarkowodorem, amoniakiem i kwasem węglowym, które to ciała są przy użyciu go szkodliwe. Dla oczyszczenia wprowadza się gaz do cylindrów poziomych, w nich osadza się smoła którą od czasu do czasu wypuszcza się kruczkiem: służy ona do wielu użytków. Oprócz smoły w cylindrach tych zbiera się woda zawierająca amoniak. Następnie gaz przechodzi przez kilka zbiorników, w których na mchu rozpostarte jest zwilżone wapno; ciało to pochłania siarkowodór i kwas węglany, które gaz zanieczyszczają. Od amoniaku można gaz zupełnie uwolnić, prowadząc go przez kwas siarczany, lub też przez zetknięcie go z siarczanem tlenku żelaza, który zarazem i siarkowodór pochłania. Tak oczyszczony gaz jest już zdatnym do użycia, i wchodzi do składów w których zbiera się go pewna ilość dla rozsełania rurami do miejsc oświetlonych. Składy te najniewłaściwiéj nazywają *gazometrami*, ponieważ nie służą one do mierzenia ale do zbierania i wypychania gazu do rur komunikacyjnych: lepiéj więc nazwaćby je *zbiornikami* należało.

Gaz oświetlający jest bezbarwny, ma właściwy sobie odór, pochodzący od zawartych w nim olejków lotnych, które podnoszą jego siłę oświetlającą Moc oświetlająca gazu oznacza się za pomocą fotometru, jeśli jest zupełnie czysty i dobry, jeden zwyczajny jego płomień, powinien dorównywać co do mocy światła, 10 do 12 świecom woskowym.

W retortach pozostaje węgiel dziurkowaty, szaroczarny, czyli tak zwany *koks*, który używa się na opał. Koks pali się bez płomienia, ale wydziela wielką ilość ciepła, używa się w gospodarstwie domowem i w przemyśle.

Przejdźmy teraz do naturalnych odmian węgla. Zaczniemy od *djamentu*.

Djament. Pyszny blaskiem swym djament i niepozorny węgiel, są jedną i tąż samą substancją; wiek zaledwie upłynął od chwili gdy przekonano się o téj tożsamości. Od bardzo dawna uczeni starali się zbadać naturę djamentu i sposób jego powstawania, jednakże dotąd tylko co do pierwszego punktu dochodzenia ich wydały zadowalniające rezultata.

Już Anzelm Boëce, uczony z XVII wieku, przypuszczał że djament jest ciałem palnem, lecz czy to dla braku środków wytworzenia odpowiedniego ciepła, czy że nikt się nie znalazł coby o tyle umiłował naukę, aby dla niej poświęcił swoje djamenty, domysłu jego nie stwierdzono doświadczeniem.

Newton zauważył że wszystkie ciała, które równie jak djament łamią i roszczepiają światło, są palne. Z tej własności silnego łamania światła wynika odznaczająca się gra barw, cechująca diament, szczególniej oszlifowany.

W wysokiej temperaturze, np. w ogniu dmuchawki tlenowodorowej, djament spala się całkowicie. Według Petzhold'a djament bynajmniej do gorenia swego nie potrzebuje tak wysokiej temperatury jak dawniéj mniemano. Czarny i najdelikatniej rozdrobniony proszek jego na blaszce platynowéj, ogniem zwyczajnéj dmuchawki bardzo łatwo się rozżarza i natychmiast płonie; tylko kawałki djamentu wysokiej do zupełnego spalenia wymagają temperatury. Produktem spalenia jest czysty kwas węglany. Ważne to odkrycie przypisują Boylemu, który, jak utrzymują powszechnie, pierwszy spalił djament i odkrył prawdziwą jego przyrodę.

Doświadczenia te powtarzali w XVII wieku, uczeni chemicy francuzcy, Darcet, i Macquer, co doprowadziło ich do jednakowego rezultatu a mianowicie, że djament jest ciałem palnem. Ale nie wystarczyło to jeszcze do uznania że djament i węgiel są jedną i tąż samą substancją. Zresztą nie byli nawet pewni zupełnie, czy rzeczywiście miało miejsce spalenie; można było bardzo wnosić, że djament jest ciałem lotnem, i pod działaniami zbytniego gorąca, zamienił się w parę.

Wówczas to genialny Lavoisier zajął się tą kwestją z właściwą sobie ścisłością doświadczeń, które doprowadziły go do ważnych rezultatów, mianowicie

przekonał się dowodnie: że djament spala się pod wpływem znacznego ciepła, jeśli jest w zetknięciu z powietrzem, w przeciwnym razie pozostaje nietknięty; pozostałością spalenia jest kwas węglowy, równie jak po spaleniu węgla. Lecz że chemja daleką jeszcze była wtedy, od wysokiego doskonałości stopnia na jakim później ją postawił, nie śmiał więc posuwać się za daleko, i oznajmił tylko, że djament i węgiel są to substancje pokrewne.

Pierwszy dopiero Guytou de Morveau, znakomity chemik francuzki, stwierdził zupełną tożsamość obu substancji, a późniejsze doświadczenia, na bardzo obszerną przedsiebrane skalę, najzupełniéj fakt ten stwierdziły. Djamentą poddawane najdelikatniejszéj analizie chemicznéj, zupełnie też same co i węgiel w podobnych razach przedstawiały rezultata. I tak np. p. Jaquelain, umieścił djament między dwoma nadzwyczaj silnemi stosami elektrycznemi, i te zarówno jak węgle zamieniły się w koks a następnie spaliły.

Djament znany był od bardzo dawnych czasów, ale nie zawsze równie świetne jak obecnie zajmował stanowisko; pochodziło to stąd, że wydobyty z łona ziemi wygląda jak prosty kamień, a pokrywająca go skorupa nie dozwala domyślać się blasku ukrytego w jego łonie. Dopiero oszlifowanie nadaje mu piękność i wysoką wartość, a jest to praca nadzwyczaj trudna, wymagająca wielkiéj zręczności i wprawy.

Dopiero w połowie XV stulecia *Ludwik Berquem* z Bruges wpadł na pomysł szlifowania djamentów.

Jeszcze przed wynalazkiem szlifowania, djamenty surowe używane były do przyozdabiania koron królewskich jakoteż relikwiarzy. Jest podanie że piękna Agnieszka Sorel, słynna z nadzwyczajnego zbytku, pierwsza stroiła się w brylanty szlifowane, promieniejące całą potęgą swego blasku.

Djament znajduje się w pokładach napływowych pochodzących ze zniszczenia skał dawniejszych, których szczątki zostały naniesione przez wodę na doliny i płaskie krainy. Pierwsze djamenty jakie się w handlu pojawiły pochodziły z Indji Wschodnich, z królestw Vizapouri i Golkondy, dziś rzadko się tam natrafiają, i prawie już wyłącznie dostarcza ich Brazylja. Znajdują się także i w Peru.

Przed trzydziestu kilku laty znaleziono piaski djamentowe w Syberji, w górach Uralskich, na zachodnim ich stoku, jednak dla rzadkości natrafianych djamentów, które nie pokrywały kosztów exploatacji, przemywanie tych piasków zostało zaniechane.

W ogóle djament jest bardzo rzadki, jedną tylko Brazylję szczodrze wzbogaciła nim przyroda, obecnie dobywanie go jest tam bardzo czynne. Napływy djamentowe znaczną tu zajmują przestrzeń, leżą one na wschodnich stokach gór Serra d'Espinhaco i Serra de la Palmas, w prowincjach Minas-Geraes i Bahia, a najbogatsze są przy północnych ramionach rzeczek: Doce, Arrasuahy i Jeguetinhoha. Tu właśnie znaleziono sławny djament *Gwiazda południa.*

Mozolne wyszukiwania błyszczących ziarnek djamentu dokonywane jest przez niewolników, w pracy téj zdejmują z siebie wszelkie okrycie i pod najściślejszym zostają nadzorem. Sposób postępowania jest bardzo prosty: odwracają bieg rzeki mającéj być exploatowaną a następnie wydobywają i płuczą piasek tworzący jéj łożysko. Płoczka odbywa się na pochylonych nieco lasach z drzewa lub z łoziny, których poprzeczne gęste bardzo przedziałki zatrzymują djamenty, a piasek przelata. Wybrane djamenty płucze się, dopóki nie zniknie otaczająca je skorupa. W tym stanie przechodzą do rąk szlifierza.

Gdy Berquen wpadł na sposób szlifowania djamentów ścierał je jeden o drugi, co wszelako dawało tylko ścianki matowe i bez blasku. Następnie zaczął używać krążka stalowego lub surowcowego, obracanego bardzo szybko w około osi pionowéj, i posypywanego proszkiem djamentu, zwilżonym oliwą. Od owego czasu szlifowanie djamentów dosięgło wysokiego stopnia doskonałości. Dokonywa się zawsze za pomocą własnego jego proszku, gdyż żadne inne ciało nie jest na ten cel przydatne, ponieważ djament wszystkie przewyższał twardością. Wprawdzie p. Sainte-Claire odkrył, że tak zwany *bor djamentowy* rysuje djament, ale jest to substancja nadzwyczaj rzadka, a tem samem nie mogąca być stosowaną do szlifowania.

Przez rznięcie czyli szlifowanie, nadają djamentom kształty regularne, ograniczone powierzchniami płaskiemi, czyli tak zwanemi *fasetkami*, małe rznięte djamenty nazywają *brylantami*, większe *soliterami*. Kamienie zaś szerokie a płaskie, któreby zbyt wiele straciły na wadze, gdyby je na brylanty chciano szlifować, szlifują się na *rauty.*

W ogóle szlifowanie djamentów zmniejsza je bardzo niekiedy każdy aż do połowy, ale znowu nadaje im wielką wartość przez niezrównany ogień i piękność jaką jaśnieją.

Nie wszystkie brylanty dadzą się szlifować, większa część używa się tylko na proszek, lub do rznięcia szkła.

Przed dwudziestu kilku laty, Hoffmann, handlujący minerałami, dostarczył Dufrenoy'emu kilka okazów bezkształtnego minerału, szlifującego djamenty i nazwanego przez niego karbonitem. Po dokonanym rozbiorze przekonano się, że jest to czysty djament, zbity i bezkształtny. Obecnie karbonit sproszkowany sprzedaje się do szlifowania djamentów.

Przemysł szlifowania djamentów osiedlił się głównie w Amsterdamie; jednak szlifierni podobnych jest w ogóle bardzo mało, a najznakomitsza jest pp. Koster, zatrudniająca około 400 pracowników, obrabiających połowę przywiezionych do Europy djamentów, to jest około 18 kilogramów, czyli jak zwyczajnie mówią 180,000 karatów. Karat jednostka miarowa dla djamentu, waży *dwieście-dwanaście miligramów* co się równa 4 granom. Nazwa karatu pochodzi od pewnego rodzaju ziarnek afrykańskich, któremi ważono złoty proszek.

Co do wartości djamentów, ta zmienia się bardzo odnośnie do wielkości. W stanie surowym, karat płaci się 100 fr. lecz oszlifowanie nadzwyczaj podnosi wartość. Karat małych djamentów, z których każdy nie dochodzi wagi 1½ karata, ceni się 250 fr.

Djament ważący	1 karrat,	wart jest	od 450 do 500 fr.
„	1½ karatów	„	800 do 900 „
„	2 „	„	1500 do 1700 „
„	2½ „	„	1800 do 2000 „
„	3 „	„	2500 do 3000 „

Cena djamentów przenoszących powyższe wagi, jest już prawie arbitralną; jednak trzymają się mniéj więcéj tego stosunku iż *dwa razy* większa waga, płaci się *cztery razy* więcéj.

W ogóle mało bardzo jest na świecie wielkich brylantów, wyliczamy najsławniejsze.

Największy ze znanych djamentów jest djament Radży Matan na wyspie Borneo, ma on ważyć przeszło 300 karatów.

Djament *Wielki Mogoł*, noszący nazwę dawnego posiadacza będący dziś własnością Szaha perskiego, waży bez mała 280 karatów, przed oszlifowaniem ważył 780 karatów. Ceniony 20 miljonów złotych.

Trzecie miejsce zajmuje *Orłów*, djament korony rossyjskiéj, ważący 195 karatów wielkości gołębiego jaja. Kupiony był w r. 1772 przez cesarzową Katarzynę za 600,000 rs. i 25,000 rs. dożywotniéj pensji. Osadzony jest w berle cesarskiem

Djament *Wielki książe Toskański*, własność dawniéj ks. Toskańskiego, a dziś Cesarza Austryjackiego, waży 139 kar. Szlifowany jest w raut dla zachowania mu naturalnéj postaci. Cenią go przeszło 1,000,000 w. a.

Regent djament korony francuzkiéj, waży 136 kar: Pod względem wielkości jest piątym z kolei, ale przewyższa wszystkie inne blaskiem, ogniem, czystością i regularnością. Przed oszlifowaniem które kosztowało 2 lata pracy, ważył 410 kar. Książe Orleanu, regent podczas małoletności Ludwika XV zapłacił za niego Anglikowi Pitt w r. 1717, 3,373,000 fr. i odtąd została mu nazwa *Regent.* Gdy w r. 1791 sporządzano inwentarz klejnotów korony francuzkiéj, oceniono go na 12,000,000 fr.

Na wystawie londyńskiéj w 1851 roku, podziwiano powszechnie djament *koh-i-nor* czyli *Góra Swiatła*, ważący wówczas 186 karatów, a będący własnością królowéj angielskiéj. Wtenczas jednak źle był oszlifowany, więc nie posiadał jeszcze właściwego blasku. Następnie poddano go powtórnemu szlifowaniu, którego dopełnił Gaward i nadał mu prawie zupełnie taką postać, jaką chlubi się *Regent*, ale waga jego zmniejszyła się za to do 123 karatów. Djament ten, niegdyś własność Wielkiego Mogoła, przeszedł następnie w posiadanie władców Kabulu. W r. 1813 skutkiem zwycięztw odniesionych, przeszedł na własność Runjet Singa, króla Lahory, a gdy po jego śmierci państwo to przyłączone zostało do posiadłości kompanji Wschodnio-Indyjskiéj, piękny Koh-i-nor podzielił los jego. Kompanja podarowała go królowéj Wiktoryi.

Wszystkie wyż wymienione djamenty pochodzą z Indji.

W końcu lipca 1863 r. w Brazylji, w prowincyi *Minas-Geraes*, w kopalniach djamentowych Bogagem, murzynka pracująca tamże znalazła największy z djamentów brazylijskich, bo ważący 254½ karatów. Po oszlifowaniu stracił przeszło połowę swéj wagi i waży obecnie 125 karatów. Sławny ten djament, noszący nazwę *Gwiazda południa* jest własnością korony portugalskiéj.

Nie zawsze djamenty są czysto białe, a piękne kolorowe bywają jeszcze droższe, z wyjątkiem żółtych i hyacentowych. Są djamenty niebieskie, różowe, zielone i czarne. Sławny jest piękny zielony djament należący do skarbca korony saskiéj, podziwiany w znanym *Grüne Gewölbe.* P. Hope posiada djament niebieski, a margrabia de Dreé, różowy.

Ciągle przemyśliwiają nad udoskonaleniem imitacji djamentów, ale te tylko fałszywym swym blaskiem w błąd wprowadzić mogą. Po wadze łatwo poznać prawdziwość, djament dwie siódme swéj wagi utraca w wodzie. Niejednokrotnie także probobono sprzedawać za djamenty bezbarwne brazylijskie topazy, szmaragdy i szafiry. Wprawdzie stanowczą cechą jest najwyższa twardość djamentu, ale bez porysowania nie można sprawdzać twardością kamieni szlifowanych. Są jednak inne cechy, zdradzające podstęp. I tak topaz elektryzuje się silnie przez potarcie, i jeszcze po upływie kilku godzin okazuje ślady elektryczności, kiedy przeciwnie djament w kilka minut elektryczność swą utraca. Szmaragd ma *e. g*, 2, 7, zatem jest lżejszy, szafir zaś 3, 97 do 4,00 a więc cięższy jest od djamentu. Nakoniec kąt polaryzacyi inny jest dla każdego z tych minerałów.

Chcąc podać wszelkie szczegóły mogące zainteresować czytelniczki nasze, rozpisaliśmy się obszerniéj o djamencie, teraz przechodzimy do innych odmian węgla...

(d. c. n.)

Opis do N. 7.

N. 1. Ubranie na spacery zimowe. Suknia wełniana z popeliny granatowéj z trzema wolantami, długi palett aksamitny szeroko obłożony futrem lub pluszem, wyszyty sznurem jedwabnym, który tworzy piękne arabeski na środku pleców. Mufka z tego co paletot materjału, wyszyta sznurem i okładana futrem. Kapturek biały kaszmirowy, przy twarzy ubrany przepięciami z białego atłasu, koło brzegów haftowany kordonkiem białym.

N. 2. Kostium do ślizgania się na łyżwach. Najstrojniejsze takie ubranie bywa z aksamitu okładane futrem, można jednak użyć na nie sukienka i obłożenia z pluszu lub imitacyi futra. Kostium składa się z krótkiéj, gładkiéj spódnicy; stanika zapinanego pod szyję i tiuniki z tyłu przedłużonéj, z przodu tylko rodzaj karoczka stanowiącéj. Krój tiuniki jest prawie taki sam, jak podany do ryc. 34 i 35 w N. 5 Tygodnika dla małych panienek.

N. 3 — 9. Serweta do kawy. Ścieg łańcuszkowy i stębnowany oraz kratki wyciągane w płótnie.

Serweta trzymająca wraz z frendzlą 124 centy. w kwadrat robi się na płótnie, nie nazbyt cienkiem, surowem. Szlak stanowią kratki wyciągane w płótnie, obrabiane i wiązane bawełną białą i pąsową; pasy wyszyte bawełną na płótnie, oraz wstawki z siatki gipiurowéj lub tasiemeczki koronkowéj. Siepana frendzla z brzegu przerabiana jest pąsową kręconą bawełną. Cała serweta odrobiona w guście starodawnym; środek odznaczony na krzyż danemi wstawkami, między któremi umieszczone 4 przysłowia. Deseń arabeskowy na środku odrabia się ściegiem łańcuszkowym i stębnowanym, bawełną białą i pąsową. N. 6. Podaje deseń naturalnéj wielkości na arabeski; 4 takie części, razem łączone, stanowią gwiazdę na środku, a zaś pojedynczo użyte, narożniki między wstawką. N. 3 i 4 przedstawia dwa rodzaje wstawek, N. 7 i 8 dwa rodzaje szlaków wyszytych na płótnie między wstawkami, N. 5 i 13 wskazują wyraźnie dwie próbki kratki, zakończającéj szlak, który w całości, ma 20 cen. szerokości.

N. 10. Okrągły aksamitny kapelusz z piórami. Owalna foremka, z prostą główką, pokryta jest gładko aksamitem, z dodaniem wypustek rypsowych. Końce objęte wypustką rypsową przepasanie koło główki i kokardy, mogą być z takiego jak kapelusz lub odmiennego koloru aksamitu; w tym ostatnim razie jedno pióro powinno być tego co kapelusz, drugie tego co ubranie koloru. Do kapeluszy zupełnie czarnych, dają się pióra kolorowe.

N. 11. Kapelusz filcowy z woalem i piórami. Kapelusz z rondkiem podwiniętem i główką w górze zwężoną, objęty jest z brzegu aksamitem; wkoło główki dane skośne aksamitne opasanie, z przodu w kontrafałdy ułożone, z tyłu gładkie. Długie, czarne pióro spada od środka główki do tyłu; małe białe pióro z boku do rondka aksamitnem przepięciem przymocowane, zachodzi na główkę, i przykrywa początek pióra czarnego. Zręczne ułożenie woalika z czarnego koronkowego tiulu, wyraźnie wskazuje ryc. 11. Woalik ma 30 cen. szerokości 75 cent. długości i jest oszyty wkoło 5 centy. szeroką koronką.

N. 12. Kratka wyciągana w płótnie i wyszyta bawełną białą i pąsową. Szlak do serwety ryc. 9.



N. 1. Ubranie z długim paletotem i kapturem. N. 2. Ubranie do ślizgania na łyżwach.

N. 13 — 17. Peleryna włóczkowa wiązana w ramach. Materjał: Biała włóczka angielska, kolorowa pela, cienki krepowany biały jedwab. Peleryna odrabia się w ramkach drewnianych odpowiedniéj formy i wielkości, sposób nawijania i wiązania włóczki, opisywaliśmy w roku zeszłym.

Łącznie ze szlakiem 15 cent. szerokim odrobionym osobno, peleryna ma z przodu 52 cent.; z tyłu 60 cent. długości. N. 14, 15 i 16 podaje w połowie naturalnéj wielkości wskazuje sposób wiązania szlaku. N. 16 przedstawia szlaczek do przodów i wykroju szyi. Użycie jedwabiu krepowanego, widoczne jest na powyższych wzorach.

N. 18. Kaftanik dla dziecka ubrany aksamitem. Podług zwykłéj luźnéj formy, przykrojony kaftanik, z jasno popielatego sukna, ma przody aksamitem czarnym obłożone i zapinany jest na aksamitne guziki. Przy brzegach wyłożenia, przy rękawach i wykroju szyi, oszyty jest pliskami objętemi materją i 2 i pół cen. szeroką, w ząbki wyciętą, sukienną falbanką.

N. 19. Kaftanik z flanelki wyszyty sznurem. Na flanelce jasno szafirowéj lub pąsowéj, wyszycie daje się czarnym jedwabnym sznurkiem, kordonkiem ściegiem łańcuszkowym lub też sutaszem wełnianym.

N. 20. Sukienka pikowa z haftem gipiurowym, dla małéj panienki. Krój stanika podług formy dodanéj do N. 34 i 35 w N. 5. Tygodnika.

Sukienka z piki białéj, ozdobiona jest gipiurowemi haftowanemi wstawkami 3 i pół cent. szerokiemi i batystowemi 5 i pół cent. szerokiemi falbankami, zakończonemi haftowanym wązkim szlaczkiem. Spódniczkę 170 cent. szeroką, u dołu przyozdabia tylko haftowana wstawka, na przodzie zaś wyszyty jest wstawkami i falbankami rodzaj fartuszka. Wszędzie na zeszyciu wstawek i przyszyciu falbanek, dodaje się stembnowane wązkie pliski z cienkiego płótna lub batystu. Otwarta z przodu tiunika ukrojona jest w kliny i nieco zaokrąglona z brzegów; dolna jéj objętość wynosi 110 centymetrów. Dodane przy niéj z obydwóch stron ranwersy zakładane w potrójne zgięcia, z materjałów nie mających lewéj strony, dają się z jednego kawałka mającego 19 cent. szerokości, 24 c. długości z jednéj strony na 11 cent. wysokości okrągławo ściętego. Z materjałów niedających się odwracać, ranwers przecina się na trzy nierówne części, (7 i pół, 6 i pół i 5 cent. szerokie) które układają się jedne na drugich; ma się rozumieć, że część zwierzchnia najkrótsza, jest zarazem najwęższa. W fałdy układany garnirunek w rodzaju berty dany na staniku, z końcami z tyłu krzyżującemi się w pasie i przepiętemi kokardą, układa się z dwóch skośnych kawałków 67 cent. długich, a 17 cent. szerokich. Z przodu są one w kształcie chusteczki złączone wstawką, z brzegu oszyte szlaczkiem haftowanym, a w końcach ściętych jak u krawatek, oszyte szerokim haftem.

N. 21. Suknia dla małéj panienki garnirowana plisami. Garnirunek sukienki wełnianéj jasno szafirowéj, stanowią skośne plisy 2 i pół i 3 i pół cent. szerokie, podszyte muślinem, w górze zakończone wypustką bez sznureczka z tego samego materjału. Klapki dodane z tyłu mają oprócz plisy w końcach dodaną frendzlę; przyczepione są do paska w ten sposób, iż plisa naszyta na staniku, zdaje się iść z niemi w jednym ciągu. Krój sukienki jest ten sam co do N. 20.

N. 22—23. Dwa monogramy. Do haftu połączonych liter ciągle modne jest użycie dwóch odmiennych kolorów np. żółtego z fijołkowym, niebieskiego z pąsowym lub czarnego z białym. Litery takie służą zarówno do cieniutkich płóciennych chustek jak i do stołowéj bielizny. Przed znaczeniem potrzeba gotującą wodą sparzyć bawełnę, ażeby się przekonać czy farba jest dobrą i niebędzie puszczać.

N. 24. Poduszka pod nogi. Robota mozajkowa i haft. Materjał: Kawałki sukna, safianu lub mięsistéj i grubéj materji, w kilku kolorach. Włóczka berlińska w dwóch cieniach, różowa, niebieska, żółta, lila, popielata, pąsowa i zielona.

Za podstawę do stołeczka użyć najlepiéj okrągłego koszyka uplecionego z gałązek wierzbiny, mającego 28 c. średnicy a 8 i pół cent. wysokości, wypchać go włosiem, pilśnią albo nawet sianem, wypukło do wierzchu i poszyć na wszystkie strony szarem gęstem płótnem albo drelichem. Boki pokryć czarnym lub ciemno brązowym suknem lub rypsem, a na wierzch ułożyć mozajkę z różnokolorowego safianu, sukna lub materji. Środkową gwiazdę stanowi 8 śpiczasto ściętych czworokątów, naprzemian ciemno brązowych i piaskowych, mających 11 cent. długości, a 5 środkowéj szerokości, otacza je 8 kwadratów szafirowych i czarnych, mających 5 i pół c; w ostatnim rzędzie daje się nakoniec 8 figur do środka śpiczasto, do brzegu w ząb płaski okrągławo zakończonych, w kolorze ciemno zielonym i czarnym lub ciemno brązowym, wielkością do pozostałych otworów zastosowanych. Najlepiéj zresztą wykroić z papieru okrąg wielkością odpowiedni wysłanéj powierzchni, narysować na nim figury podług wskazanego wzoru N. 25 i dopiero podług nich krajać sukno lub materję, dodając cokolwiek na zaszycie.

Po zeszyciu pojedynczych części rozprasowywa się całe pokrycie starannie z lewéj strony i pokrywa z prawéj zeszycia ściegiem krzyżowanym, włóczką zieloną w dwóch cieniach.

Gwiazdy zdobiące środki kwadratów odrabia się ściegiem długim łańcuszkowym, różnemi kolorami naprzemian. Nieco nadmarszczona w górze, a u dołu w zęby

wycięta falbana z ciemnego sukna, przyozdobiona różnokolorowemi gwiazdkami pokrywa boki stołeczka. Na zeszyciu w górze daje się sznur różnokolorowy od którego spadają na falbanę, kwasty z mięszanych włóczek.



N. 3. Wstawka z koronkowéj tasiemeczki i ściegu koronkowego. Do N. 9.

N. 25. Berta z kwadratowym wycięciem. Z przodu zapinaną bertę układa się z plisowanéj iluzji, na podszewce ze sztywnego tiulu. Szerokość jéj wynosi około 8 cent. z tyłu zakończona jest zębem śpiczastym, mającym w górze 4—5 cent. szerokości, z przodu przy zapięciu do 5 c. zwężona i podług wykroju sukni dopasowana. Owalny kawałek tiulu mający 36 cent. długości, a 14 szerokości, przecina się środkiem na ramiączka, i obraca prostym brzegiem do dołu. Wskazany na rycinie garnirunek berty stanowią blondyny 4 i 2 cent. szerokie, rulony z różowego atłasu i paski 4 cent. szerokie na 2 i pół cent. jako frendzelka wysiepane. Kokarda dodana na



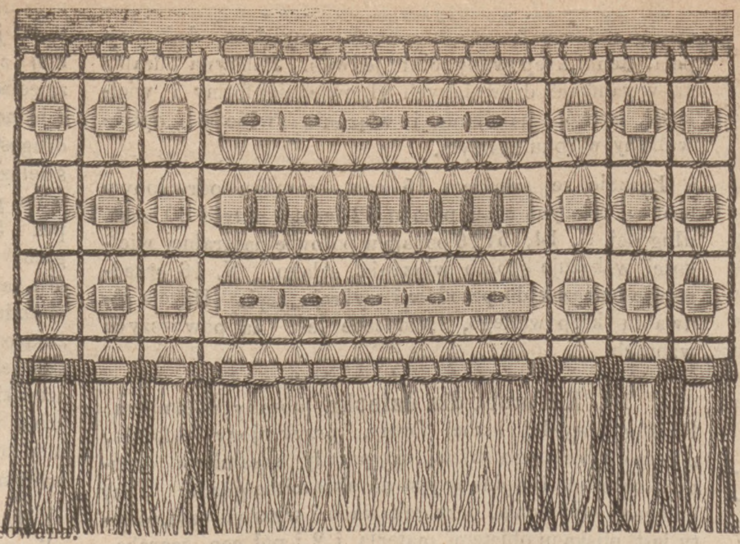
N. 10. Okrągły kapelusz aksamitny z piórami i kokardo.

spięciu układa się ze wstążki atłasowéj 3 cent. szerokiéj.

N. 26. Kokarda z materji i koronki. Kokarda tego układu użytą być może w miejsce szarfy do sukni, do włosów, kołnierzyka albo w małych rozmiarach do garnirunku. Wielkość zastosowaną być musi do obranego celu. Kokardy i przepięcia ukrojone skośnie, zakładają się na środku w jedną dużą kontrafałdę; prosty koniec wysiepany jest brzegiem na frendzelkę, ułożony w pojedyncze fałdki i pokryty do połowy czarną lub białą marszczoną koronką.

N. 27 — 28. Dwa wycięte staniki z bawetami i tiunikami. Forma stanika na arkuszu z krojami dodanego do N. 4 i 5 Tygodnika Fig. 33—37.

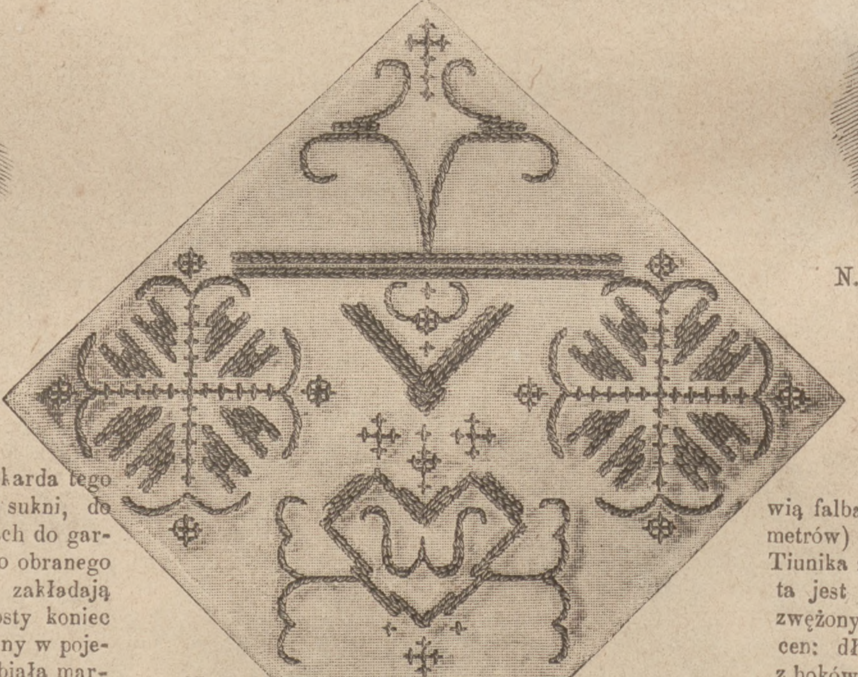
N. 27. Stanik z bawetem i tiunika z téj samej materji przybrana koronką, kokardami z aksamitki i wyszyte sznurkiem jedwabnym, użyte być mogą do spódnicy z takiej saméj materji, albo do lekkiéj balowéj.



N. 5. Szlak z frendzlą. Kratka w płótnie wyciągana i wiązana pąsową bawełną. Do N. 9.

N. 28. Stanik z bawetem i karoczkiem z kolorowéj materji, berta i tiunika z lekkiego przejrzystego materjału, dodane do spódnicy kolorowéj jedwabnéj, stanowią ładną balową toaletę. Zamiast suto dodanych kwiatów, mogą być umieszczone kokardy ze wstążki.

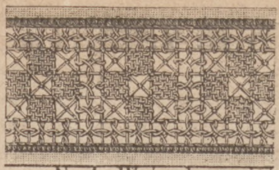
N. 29. Krawatka garnirowana koronką i plisami. Zarówno ryps jak i krepa jedwabna użyte być mogą na krawatkę. Środek jej stanowi skośny pasek 70 cent. długi, 9 cent, szeroki tak złożony i zeszyty od spodu, iż w końcach nieco rozszerzonych ma 4 centymetry. Plisowanie stanowiące końce krawatki, układa się na kawałku sztywnego muślinu 10 cent. długim, u dołu 14 cent. szerokim, ku górze skośnie odpowiednio do szerokości krawatki ściętym. W ząb układane skośne plisy powinny zachodzić jedne na drugie i być oszyte u dołu koronką 6 c. szeroką, a w górze zakończone wązką.



N. 6. Narożnik ściegiem łańcuszkowym. Do N. 9.



N. 9. Serweta do kawy. Haft na płótnie i ażury z nitek wyciąganych. Patrz N. 3—8.



N. 4. Wstawka z siatki gipiurowéj do N. 9.

N. 0. Suknia strojna z aksamitnemi plami.

Zobac plisę haftowaną ry. 19 w N. 8 Tygodnika.

Krój stanika ten sam co do ryc. 1 w N. 5 Tygodnika.

Model jest z materyi orzechowéj. Powierzystą spódnicę zakończa napowietrzny skośny wolant 30 cen. szeroki, nad nim dane plisowanie 6 cen. szerokie, ułożone na sztywnym muślinie w fałdy odwracane przeciwlegle, mające z obydwóch stron wypustki; u góry dodana 2 cen. szeroka falbanka. Długa z tyłu podpinana tiunika, ma dodaną aksamitną plisę, haftowaną ściegiem łańcuszkowym dwoma cieniami orzechowego kordonku. (Wzór i deseń podany w N. 8 Tygodnika). U samego dołu tiuniki przyszyta orzechowa jedwabna frendzla z ciemniejszemi kwaścikami. Odpowiednio tiunice przybrany jest stanik z bufowanemi rękawami.

N. 31. Suknia balowa. Krój jak do ryciny 36 i 42 w N. 5 Tygodnika.



N. 11. Kapelusz okrągły filcowy z woalikiem. i piórami.

Suknia z trenem z różowego tarlatanuz mająca 470 c. obwodu; jest z produ 102, z tyłu 188 c. długa. Garnirunek z powodu trenu dany szerzéj z tyłu, niż z przodu, stanowią falbany stopni owanéj szerokości (od 16 — 4 centymetrów) układane w rurki i riusza 5 cen. szeroka. Tiunika z fartuszki em z przodu, podpinana z tyłu, oszyta jest wolantem 11 cen. szerokim, z boków do 7 cenzwężonym i sutą riuszą. Przedni jéj bryt powinien być 64 cen: długi, a 150 cen. szer. u dołu; bryt tylny jes z boków 104, w środku 160 cent. długi, a 220 centyszeroki.

Riuszami garniruje się karoczek, stanik, szarfy i rękawki. Ubranie głowy stanowią białe róże i drobne białe kwiatki z pączkami i spuszczonemi gałązkami. Takież drobne białe kwiaty mięszane są między riuszą.

N. 32. Suknia dla małéj panienki.

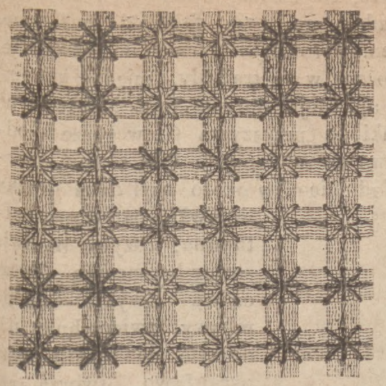
Ciemna brązowa wełniana sukienka, ma tiunikę i gar-



N. 7. Wyszycie stebnowanym ściegiem na płótnie Do N. 9.



N. 8. Szlak stębnowany na płótnie do N. 9.



N. 12. Kratka wyciągana wpłótnie, wiązana białą i pąsową nitką. Może być użyta do N. 9.

nirunek w jaśniejszym kolorze. Zęby objęte być powinny pliską z atłasu lub mantyny. Tego rodzaju sukienkę można odrobić także z materyi wełnianéj, jedwabnéj albo wełnianéj z aksamitem.

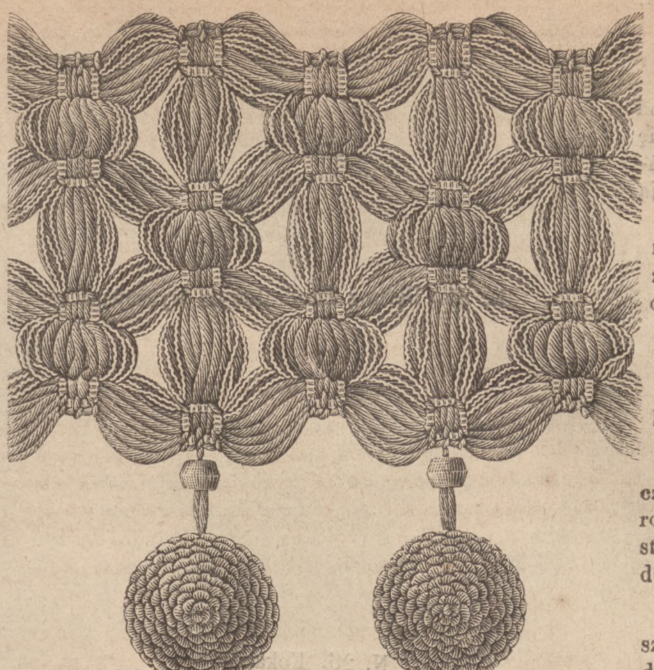
Opisy do N. 8.

N. 1—5. Garnitur lawowy.

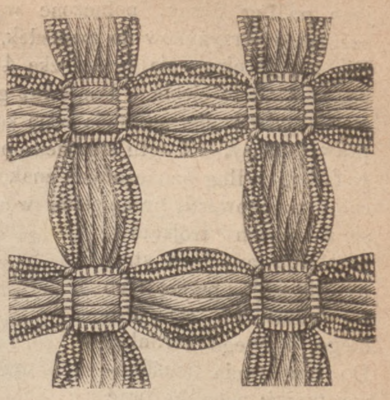
Grzebień, brosza, kolczyki i klamerka do paska.

Materjał. zwykły czarny rogowy grzebień; czarne gładkie kamienie dwojakiéj wielkości z dziurkami do przewłóczenia; wielkie i maleńkie lawowe perełki; 2 średniéj wielkości lawowe guziki; czarne grelotki; czarna materja, gruba tektura, drut, dwa uszka do kolczyków, igła, czarny lak.

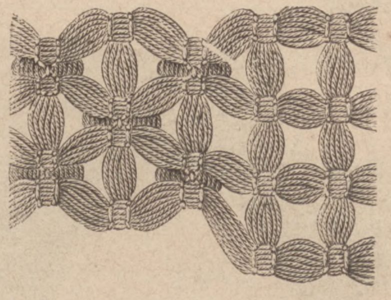
Pod gwiazdki, składające wyżéj wyliczone ozdoby, poddaje się z grubéj i sztywnéj tektury podstawę odpowiedniéj wielkości, wyciętą w kółko, poszywa czarną materją, na któréj przytwierdza się czarne kamienie. Kwaściki i festony wiszące, składają się naprzemian zjednéj dużéj perełki i 4 małych, nawleczonych na mocny kordonek. Zakończenie kwaścików stanowią czarne grelotki. Na rycinie 3 podany jest kolczyk, naturalnéj wielkości i wskazana miara kamieni rzniętych, których do naszywania, można dostać w wielu sklepach.



N. 13. Szlak brzeżny do peleryny. N. 17. Robota w ramach.



N. 14. Wiązanie w ramach do szlaku brzeżnego N. 17, wielkość naturalna.



N. 15. Lewa strona roboty szlaku N. 13.



N. 16. Brzeżek zakończający przód peleryny N. 17. Robota w ramach



N. 18. Kaftanik dla dziecka sukienny przybrany aksamitem.



N. 20. Sukienka pikowa z haftem gipiurowym, dla małéj dziewczynki.

N. 1. Grzebień. Ławkę w grzebieniu składa 6 rozet, mających 1 i pół cent, średnicy, których układ doskonale nadaje się do djademu lub opaski na głowę, naszytéj na pasku tektury, 1 cent. szerokim, a 13 długim, wyciętym w zęby. Pasek taki powinien być podszyty drutem i powleczony materją czarną. Ławeczka ułożona z rozet, przyozdobiona kwaścikami i festonem, przymocowywa się do grzebienia kilkoma niewidocznemi ściegani, do czego potrzeba przewiercić dwie dziurki rozpalonym drutem.

N. 2. Broszka z kokardą. Brosza mająca 3 $^3/_4$ c. średnicy, ułożona jest z kamieni, dwojakiéj wielkości naszytych dwoma rzędami, w około lawowego guzika. Do przymocowania broszy, w środku kolorowéj kokardy, służy przytwierdzona od spodu kilkoma ściegami śpilka. Wisiadełka z perełek spuszczają się na 7 cent: długości. Guziczek lawowy stanowiący środek, zakłada się w przeciętą na środku tekturową podstawę broszy, a od spodu przewłóczy drut przez uszko.

N. 3—4. Kolczyki te można odrobić podług ryciny 3 i 4, podającéj kolczyk z lewéj strony i ozdobić podług gustu, spuszczającemi się wisiadełkami, jak u broszy i grzebienia.

N. 5. Klamerkę do paska składają dwie rozety: większa jak na broszę lecz bez wisiadeł i mniejsza z wisiadełkami, połączone trzema sznurami, spuszczającemi się od 11—13 cent. długości.

N. 6. Kokarda alzacka.

Rycina 6 wskazuje głowę młodéj osoby, uczesaną w dwa spuszczone warkocze. Przystrojenie głowy stanowi zgrabna kokarda w jakimkolwiek kolorze; wymaga ona trójkątnego kawałka materjału, którego boki proste podług nitki, powinny mieć po 36 centymetrów. Od brzegu szerokiego, aż do przeciwległego spiczastego końca, zakłada się materję w 4—5 głębokich fałd, zachodzących na siebie w ten sposób, iż rogi układają się wachlarzowo; na środku przymocowywa się fałdy do kawałka sztywnego tiulu pokrytego materją, mającego 3 cen. szerokości a 6 długości.



N. 17. Peleryna. Robota w ramach. Patrz części pojedyncze N. 13—16.



N. 21. Sukienka przybrana plisami.



N. 19. Kaftanik z flanelki przybrany wyszyciem sznureczka.

Na wierzchu dodaje się dwie podług wzoru ułożone kokardy i przepina ścisłym, mocno marszczonym węzłem.

N. 7. Kołnierz aksamitny i kokarda ze wstążki. Bardzo obecnie używane są czarne aksamitne kołnierze, większéj lub mniejszéj formy, wykładane, oszyte piękną białą koronką. Kokarda zapinająca kołnierzyk, oznacza się oryginalnością układu i przepięcia. Odszyta jest z rypsowej wstążki, 8 cen. szerokiéj, a 67 cen. długiéj, zakończonéj 4 cen. szeroką wstawką koronkową i frendzlą wysiepaną ze wstążki. Wstążkę potrzeba najprzód przewiązać w pojedynczy węzeł, od którego z jednej strony pozostaje koniec 9 cent. długi: druga część przeciąga się powtórnie przez węzeł tak, aby tylko krótki koniec spadał; 10 cen. szeroki pukiel przyszyty z boku dopełnia kokardy. Również można taką kodardę zastosować do podpięcia tuniki.



N. 22. Monogram. Haft ściegiem stębnowanym i atłaskiem w dwóch kolorach.



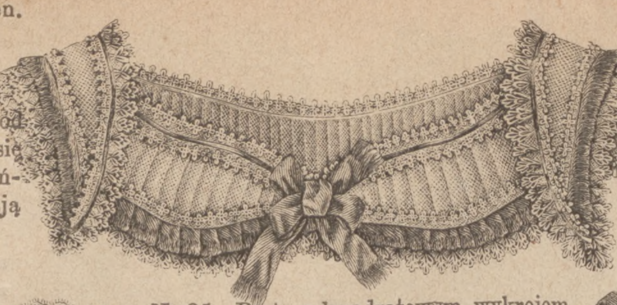
N. 24. Poduszka pod nogi. Haft i mozajka.



N 23. Monogram. Punkciki i ścieg stembnowany w dwóch kolorach.

N. 8. Pelerynka i tunika z muślinu. Pelerynka ta, któréj krój podamy w N. 9 krzyżuje się na piersiach, a końce łączą się pod kokardą ze wstążki kolorowéj. Obie częsci pelerynki przykro-

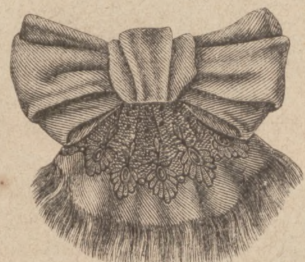
jone podług formy, połączone wstawką tiulową 1 cen. szeroką od krzyżyków do gwiazdek, oznaczonych na Fig 10, garnirują się koroneczką 4 i 1 cen: szeroką, złożoną do siebie. Ponieważ górny brzeg chusteczki odwija się, potrzeba więc koroneczkę przyszyć od prawéj strony. Z tyłu środkiem pelerynka układa się w fałdy, podług oznaczonych znaków i przyozdabia końcami muślinowemi, przepiętemi węzłem. Końce składają się z dwóch trójkątów, przefałdowanych od strony skośnéj, przeciętych z kwadratu 17 cen. długiego, oszytego koronką. Do przybrania muślinowéj tuniki; potrzeba brać koronkę, odpowiednio szerszą. Wszelka przezroczysta tkanina, jak np. grenadina, tiul, tarlatan biały, czarny lub kolorowy, ogarnirowany koronką lub odpowiedniego koloru frendzlą, użyte być mogą na to ubranie. Szarfy ułożone są suto z kolorowéj wstążki.



N. 25. Berta z kwadratowym wykrojem.



N. 27. Stanik wycięty z bawetem i tunika z takiegoż materjału.



N. 26. Kokarda z materji i Koronki.



N. 29. Krawatka z plisek i koronki.



N. 28. Stanik wycięty z bawetem i karoczkiem jedwabnym.

N. 9. Stanik muślinowy pod szyję.

Stanik ten służyć może do sukni białéj muślinowéj lub też do muślinowego vêtement, na sukni kolorowéj jedwabnéj. W takim razie stanik jedwabny powinien być wycięty, z krótkiemi rękawami.

Forma stanika gładka, zwyczajna, tylko garnirunek stanowi nowość, składają go dwie falbanki muślinowe w środku 3 i pół cen. szerokie, w końcach do 1 zwężone, oszyte koronką i ułożone w kontrafałdy, między któremi w odstępach dana aplikacja dużych liści haftowanych atłaskiem. Falbanki te przyszywa się w górze w odstępie 3 cent. od szwa na ramieniu, u dołu równo z wykrojem stanika. Nad niemi w około szyi dana wązka wstawka batystowa haftowana, oszyta na dwie strony koroneczką marszczoną. Zwykłe wązkie rękawy zwierzchnie nie doszyte do ręki i ścięte okrągławo, tworzą rękaw otwarty przez dodanie wolantu, mającego 170 cen. długości, 14 cen. szerokości przy łokciu a 3 c. u ręki. Wolanty oszyte są koronką 4 cen: szeroką ułożone w kontrafałdy i przyozdobione w odstępach aplikacją haftu; między wolantem a rękawem wszyta wstawka haftowana batystowa, tak samo jak przy wykroju szyi na 2 strony oszyta koronką.



N. 30. Suknia wizytowa. Wyszycie plis aksamitnych podaje rycina 19 w N. 8 Tygodnika.



N. 31. Ubanie balowe. N. 32. Ubranie małéj dziewczynki.